



CAROL WOOD

**Zesłało
go niebo**

Tytuł oryginalny: Heaven Sent



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dochodziło wpół do pierwszej, kiedy Abbie skończyła podpisywać stos recept piętujących się na biurku. Ponieważ po południu zaczynała przyjmować dopiero wpół do trzeciej, przerwę na lunch postanowiła spędzić w gabinecie, przeglądając dokumenty. W pewnej chwili zadzwonił telefon.

- Ktoś do pani, pani doktor - odezwała się Rachel Brompton, dyżurna recepcjonistka. - Przedstawił się jako Carrig, ale nie jest pacjentem. Bardzo źle słyhać. Chyba dzwoni z komórki.

- No dobrze, połącz mnie, Rachel. A potem nie zamykaj, z łaski swojej, mojego gabinetu. Wróć tu na przerwę.

- Dobrze, pani doktor. Łączę.

- Doktor Ashby przy telefonie. — Abbie aż się skrzywiła, usłyszawszy głośny trzask na linii, i odsunęła słuchawkę.

- Dzień dobry, pani doktor, moje nazwisko... - Głos zanikł, a kiedy w słuchawce rozległ się głośny gwizd, Abbie znów odsunęła ją od ucha. - Przepraszam za te zakłócenia - usłyszała, kiedy wznowiono połączenie. - Dzwonię w imieniu pani siostry Joely.

- Joely? - spytała z niepokojem.

- Michele miała drobny wypadek. Spadła z huśtawki i na chwilę straciła przytomność.

Abbie przeszedł dreszcz strachu, gdy usłyszała, że chodzi

o jej czteroletnią siostrzenicę Michele.

RS

- Co się stało? - spytała, zaciskając mocniej palce na słuchawce. - Czy jest przytomna?

- Tak. Ale na wszelki wypadek wezwaliśmy karetkę. Chociaż to na pewno nic poważnego... - Znów ich rozłączyło. Abbie usilnie pragnęła znów usłyszeć głos tego mężczyzny, lecz w słuchawce zaległa złowieszcza cisza.

Usiłowała opanować rosnący strach. Przecież Joely nie mieszka daleko, zaraz więc sama przekona się o wszystkim na miejscu. Chwyliła torbę lekarską i pomknęła do recepcji, w której Rachel porządkowała czasopisma.

- Michele spadła z huśtawki - rzuciła w locie. - Pędzę do nich.

- Michele? - Recepcjonistka zrobiła zdziwioną minę. - Ale nic się nie stało?

- Nie znam szczegółów - powiedziała pospiesznie Abbie, wybiegając z przychodni. - Zadzwoń, gdybym się miała spóźnić.

- Tylko niech pani jedzie ostrożnie! - usłyszała wołanie recepcjonistki.

Dopiero gdy dobiegła do swej czerwonej fiesty, otworzyła drzwi i zapaliła silnik, jeden rzut oka w lusterko uzmysłowił jej, jak bardzo się boi. Trzykilometrowy odcinek drogi przez leżące wśród jezior Rendale pokonała w zawrotnym tempie. Zdawało jej się, że każdy autobus, samochód, a nawet rower blokuje jej drogę. W końcu skręciła i podjechała pod piękny, stojący nieco na uboczu dom siostry. Zza domu wybiegł jej na spotkanie postawny młody brunet.

- Jestem Matt Carrig - przedstawił się, kiedy spotkali się na małym trawniku przed domem. - Pani doktor Ashby?

- Tak - odparła. - Gdzie moja siostrzenica?

- Jest tam z Joely - wskazał ręką na tyły domu.

Oboje ruszyli biegiem w tamtą stronę.

- Co się stało? Gdzie karetka?

- Powinna zaraz tu być. Jak już mówiłem, Michele spadła z huśtawki. Uderzyła głową o beton i na kilka sekund straciła przytomność.

Abbie przestała zwracać uwagę na to, co mówi nieznajomy, bo zobaczyła siostrzenicę leżącą przy huśtawce.

- Abbie, nie wiedziałam, czy do ciebie dzwonić, czy nie - powiedziała roztrzęsiona Joely. - Nie mogłam zebrać myśli.

- Jasne, że dzwonić - odparła Abbie i ukłękła przy siostrze, po czym spojrzała na dziewczynkę. - Cześć, psotko. No i co zbroiłaś?

Michele, w różowych ogrodniczkach i przezroczystych sandałkach Kopciuszka, uśmiechnęła się blado.

- Dzień dobry, ciociu.

Abbie podniosła dłoń Michele i z ulgą stwierdziła, że jest ciepła, a wszystkie palce reagują na dotyk.

- I jak się czujesz?

- Trochę mi niedobrze - odparła siostrzenica. - Spadłam z huśtawki i uderzyłam się w głowę.

- Na chwilę straciła przytomność - rzekł młody człowiek, który klęczał z drugiej strony Michele. Abbie poznała Phila Sheppeya, sąsiada Joely. - Byłem z Joely w domu, pomagałem jej naprawić pralkę. Na szczęście Matt widział wypadek, przeskoczył przez płot i do niej dobiegł.

- To było dosłownie kilka sekund - dorzucił Matt Carrig. Z jego ciemnych, piwnych oczu bił spokój.

- Czy pan ją ruszał? - spytała nieco zbyt napastliwym tonem, ale nie mogła nad sobą zapanować.

- Nie - zapewnił ją cicho. - Nie ruszałem jej.

- Wszystko stało się tak nagle - wtrąciła Joely. - Huśtała się spokojnie, aż tu nagle bach...

Abbie spojrzała na mężczyznę, który zawiadomił ją o wy-

padku. Domyśliła się, że to pewnie kolega sąsiada Joely, i skinęła mu głową. Mężczyzna przysiadł na piętach obok niej.

- Wszystkie kończyny reagują - stwierdził, uśmiechając się do Michele - tu więc nie widzę powodu do obaw. Ale na pewno trzeba obejrzeć ten guz na głowie.

Nagle zawyła syrena nadjeżdżającej karetki i już po chwili Phil przyprowadził dwóch sanitariuszy. Michele nie protestowała, kiedy włożono jej na szyję specjalny kołnierz, a następnie zanesiono na noszach do karetki.

- Jedziesz z nami? - spytała Joely, kiedy czekali przy karetce. - Bo chyba po południu masz pacjentów?

- Tak, ale dopiero wpół do trzeciej. - Abbie zawahała się, czując, że powinna dotrzymać towarzystwa siostrze.

- Chcesz, żebym spróbował wyrwać się na kilka godzin z pracy? - spytał Phil, kiedy sanitariusz czekał, żeby zamknąć drzwi.

- Nie trzeba, poradzę sobie - odparła Joely, chociaż Abbie widziała, że trzęsą jej się ręce.

- Służę pomocą - zaferował raptem Matt Carrig. - Podjadę do pani przychodni, pani doktor, i powiem co się stało. Na pewno recepcjonistki coś wymyślą. Prześwietlenie Michele nie potrwa długo. Może nawet zdąży pani wrócić na czas.

Dopiero teraz, kiedy Matt Carrig spojrział na Abbie swoimi przejrzystymi, piwnymi oczami, zwróciła uwagę na jego wygląd. Strzecha niesfornych ciemnych włosów zupełnie nie pasowała do tego spokojnego spojrzenia. Był wysoki, dobrze zbudowany i po ogrodzie Joely poruszał się swobodnie. Abbie przemknęło nawet przez myśl, czy to aby nie nowy mężczyzna w jej życiu.

- Mamusiu! Ciociu Abbie! - krzyknęła rozpaczliwie Michele z karetki, kiedy sanitariusz zaczął zamykać drzwi.

- Proszę jechać z siostrzenicą i nie przejmować się przychodnią - powiedział Matt Carrig, biorąc ją pod rękę.

Zanim Abbie zdążyła zebrać myśli, już wsiadała razem z Joely do karetki. Ruszyli z wyciem syreny do szpitala.

- Ciociu Abbie, zostaniesz tam z nami, prawda? - dopytywała się Michele.

- Oczywiście, że zostanę, kochanie - zapewniła ją Abbie.

- A co mi będą robili w szpitalu? - spytała płacząco dziewczynka.

- Zrobią ci tylko kilka zdjęć, to wszystko.

- A będzie bolało?

- Ale skąd - zaprzeczyła Abbie.

Joely pochyliła się nad córką i pocałowała ją w czoło, odgarniając małej z oczu spocone włosy.

- Przez cały czas będziemy przy tobie, córeczko. Dziękuję, Abbie, że przyjechałaś - Joely zerknęła na siostrę. - Z początku nie chciałam cię denerwować, ale Matt poradził mi, żebym cię zawiadomiła.

- Miał rację - potwierdziła Abbie.

- Widać, że facet ma nosa. Najwyraźniej w nagłych wypadkach wy wszyscy lekarze działacie jakby na jednej fali.

- To on jest lekarzem? - spytała Abbie z zaskoczeniem.

- A nie mówiłam ci? - zdziwiła się Joely. - No tak, przecież wy się nie znacie. Matt przyjechał z Australii.

- Z Australii? - Abbie jakoś nie mogła uwierzyć. - Nie zauważyłam u niego cudzoziemskiego akcentu.

- Bo z urodzenia jest Anglikiem. Rodzice wyemigrowali tam, kiedy był nastolatkiem. Phil i Matt studiowali kiedyś razem, a teraz Matt się u niego zatrzymał, ale jesienią wraca do Australii.

- Przecież Phil nie jest lekarzem? - upewniła się Abbie,

usiłując przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała o nowym sąsiedzie siostry.

- Nie. Phil nie przebrnął przez drugi rok studiów - wyjaśniła Joely. - Zajął się dziennikarstwem, a teraz pracuje w Carlisle w jednym z brukowców.

- Aha - przyjęła do wiadomości Abbie. Wreszcie zobaczyła uśmiech na twarzy siostry.

- A dla twojej wiadomości: Phil jest rozwodnikiem, dużo podróżuje, i jest naprawdę sympatyczny - dodała Joely, promieniając jeszcze bardziej.

Joely od świąt Bożego Narodzenia mieszkała sama, nic więc dziwnego, że poczyniła nowe znajomości. Odkąd wyprowadziła się z domu i podjęła życie jako samotna matka, doprawdy rozwinęła skrzydła.

Abbie spojrzała na Joely, która poprawiała koc na piersi Michele. Siostra była blondynką, ona - brunetką. Joely odziedziczyła urodę po matce, a ona gęste ciemne włosy i szmaragdowozielone oczy po ojcu. Nigdy nie brano ich za siostry, bo Joely była gadułą, Abbie zaś uważnie słuchała. Joely urodziła się dziesięć lat po Abbie, która doskonale pamiętała jej hałaśliwe przyjście na świat.

Mała Michele była podobna do matki jak dwie krople wody. Abbie ją ubóstwiała, może czasem nawet za bardzo. Przełała na nią całą swoją nie spełnioną miłość.

- Mamo, powiedz cioci Abbie o babiku - poprosiła nagle Michele ze śmiechem. - No wiesz, to, co powiedział wujek Phil.

Joely się roześmiała.

- Przecież nie możemy tam iść, psotko. W tej sytuacji...

- Co to jest „babiku”? - spytała Abbie zaintrygowana.

Michele i Joely roześmiały się.

- Phil zaprosił nas dziś wieczorem na barbecue - wyjaś-

niła Joely, puszczając oko do swej czteroletniej córki. - Matt właśnie rozstawiał markizę w ogrodzie, kiedy zobaczył, jak Michele spadła. Miły ten Matt, prawda?

Abbie zaczerwieniła się, wiedząc, że siostra czyta w jej myślach, bo właśnie obraz nieznajomego mignął jej w głowie. Raptem zdała sobie sprawę, że zachowuje się wobec Joely jak nadopiekuńcza stara ciotka. Postanowiła więc, że nie zająknie się słowem na temat dwóch przystojnych mężczyzn, którzy zjawili się nagle w życiu siostry.

Musiała przyznać, że Joely ostatnio rozkwitła - czyżby za sprawą kogoś z sąsiadów? Miała tylko nadzieję, że to nie Australijczyk zawrócił Joely w głowie. Wiadomo, jak się kończą wakacyjne romanse, tym bardziej że mała Michele była owocem takiego właśnie związku. Jedyna pociecha w tym, że dziewczynce nie brakowało miłości ani pewności siebie.

Już na miejscu, w wiejskim szpitaliku w Rendale, lekarz dyżurny potwierdził konieczność prześwietlenia i przyjął Michele na noc na obserwację. Joely została z córką, a Abbie opuściła szpital kwadrans po czwartej.

Podjechała taksówką pod dom siostry, skąd zabrała swój samochód, ale w drodze powrotnej do przychodni nie mogła przestać myśleć o siostrzenicy, chociaż wszyscy twierdzili zgodnie, że Michele wyjdzie z tego cało.

- Abbie, przestań się zamartwiać! - Joely aż się roześmiała, kiedy Abbie żegnała się z nią niechętnie. - Takie wypadki bez przerwy się dzieciom zdarzają.

Abbie wiedziała, że to prawda. Ale Michele była taka mała i taka biedna... no i nie miała ojca. Najbardziej przejmowała się tym, że dziewczynce brakuje wzoru do naśladowania. Ona i Joely wychowywały się w całkiem innych warunkach. Ich ojciec był bohaterem całego Rendale. Mówiono, że doktor Bob Burchfield umie wyleczyć wszystko. Wyznawał trady-

cyjne wartości i był uwielbiany, bardziej chyba za charakter niż za profesjonalizm. Sean, jej nieżyjący mąż, również cieszył się wspaniałą opinią.

Obaj panowie byli współwłaścicielami przychodni, którą odziedziczyła po nich w następstwie tragicznego wypadku na Esk Feli. Gdyby nie ten wypadek, Michele wciąż miałyby kochającego dziadka i dobrego wujka.

Zanim się obejrzała, znalazła się znów w przychodni. Rachel przywitała ją uśmiechem. Abbie zaspokoili ją jej ciekawość na temat Michele, a potem rozejrzała się po pustej poczekalni.

- Czy doktor Carrig przekazał wiadomość ode mnie?
Rachel skinęła głową.

- Porozmawiał z doktorem Morganem, po czym przyjął pani pacjentów.

Abbie szeroko otworzyła oczy. Chyba się przesłyszała.

- Co takiego?

- Doktor Carrig zaoferował swoją pomoc, a pan Morgan ją przyjął. Żaden z pacjentów nie zgłosił zastrzeżeń. A wie pani, jacy niektórzy są. - Rachel nagle się zarumieniła, spoglądając Abbie przez ramię. - O, pan doktor. Właśnie mówiłam, że nie poradzilibyśmy sobie bez pańskiej pomocy.

Abbie spojrzała pytająco na nadchodzącego Matta Carriga.

- Przyjął pan wszystkich moich pacjentów?

- Możemy porozmawiać? - spytał, ściszej głos i zapraszając ją gestem do jej gabinetu.

Abbie spojrzała na Rachel, która wyglądała, jakby wpadła w trans, bo nie mogła oderwać oczu od mężczyzny.

- Rozumiem, że Michele została w szpitalu na obserwacji - powiedział, idąc obok niej korytarzem.

- Owszem - odparła Abbie przez zęby, usiłując opano-

wać mieszane uczucia wobec Matta. W gabinecie usiadła za biurkiem, on zajął krzesło dla pacjentów. - Dlaczego nie powiedział mi pan od razu, że jest pan lekarzem? - zapytała.

- Mówiłem - zaprzeczył - ale pewno nie dosłyszała pani przez te trzaski. Dzwoniłem z komórki.

Poczuła dziwne ssanie w żołądku i zmieniła nieco pozycję. Nie wiedziała, czy powinna wyrazić mu wdzięczność za pomoc przy pacjentach, czy oburzyć się na jego natręctwo. W każdym razie nie potrafiła zachować obojętności wobec tego człowieka. On natomiast siedział odprężony, wyciągnawszy przed siebie długie nogi, oparty łokciem o jej biurko.

- Proszę pozwolić mi wyjaśnić całą sytuację - poprosił.

- Będę panu bardzo wdzięczna.

- Kiedy tu przyjechałem - zaczął cicho - doktor Morgan przyjmował już panią Kay, pani pierwszą pacjentkę. Pan doktor uznał, że jak na dwudziesty ósmy tydzień ciąży ma za wysokie ciśnienie i widoczny obrzęk. Na tyle go to zaniepokoiło, że ją przyjął. Przyszedł do recepcji i poprosił, żeby któraś z dziewcząt zadzwoniła po jej męża, a wtedy ja mu się przedstawiłem. Szczęśliwym trafem doktor Morgan czytał moje artykuły z dziedziny pediatrii, więc nie byłem dla niego kimś anonimowym.

- Rozumiem - rzekła Abbie ze zdziwioną miną, ale czuła, że się pomału uspokaja.

- Zaoferowałem swoją pomoc w nagłych przypadkach, od których aż się roilo w poczekalni.

- I przyjął pan wszystkich pacjentów?

- Tylko dlatego, że recepcjonistka miała kłopoty z przepisaniem ich na inny termin.

Abbie uniosła brwi.

- Czyli mamy wobec pana dług wdzięczności, doktorze Carrig.

- Ależ skąd. Pani na pewno postąpiłaby tak samo - odrzekł z nikłym uśmiechem. - Doktor Morgan miał dość przyjezdnych pacjentów z ośrodka wypoczynkowego w Rendale. Nie mogłem go tak zostawić. A przy okazji... na imię mi Matt.

Abbie odgarnęła włosy z oczu i odwzajemniła uśmiech.

- Tak, mamy kłopoty z tym nowym ośrodkiem. Nie zawsze przyjmuje tam u nich lekarz, no więc pacjenci trafiają do nas... - Urwała i na chwilę zapadło milczenie.

- Zaniepokoił mnie pacjent nazwiskiem David Carter - odezwał się znów Matt Carrig. - Skarżył się na kołatanie serca, drżączkę i nadmierne pocenie. Miał też kłopoty z przełykaniem. Ale nie stwierdziłem żadnych powodów do obaw.

- Czy to ktoś przyjezdny? - spytała.

- Najwyraźniej. Z tego co mówił, zrozumiałem, że ma kłopoty domowe. Po zastosowaniu techniki relaksacyjnej zaczął lepiej przełykać. Na moje pytanie, czy nie miewa napadów lęku, odparł, że nie zabawi w Rendale długo, a po powrocie do domu zasięgnie porady lekarza. - Kiedy zastanawiała się nad jego kompetencjami, on ciągnął: - No i przyjąłem niejakiemu Jaspera Macdonalda.

- Jasper się zgodził? - spytała zaskoczona.

- Owszem. Chciał odnowić receptę na bóle artretyczne, ale po chwili wdaliśmy się w rozmowę. Z pani zapisków w karcie i z jego słów wnoszę, że niepokoi panią jego stan.

- Niestety, tak. - Pokiwała wolno głową.

- Namawiała go pani na badania?

- Tak, ale bez skutku. - Wzruszyła ramionami. - Ma pięćdziesiąt dwa lata i jest zatwardziałym kawalerem. Do niedawna był zdrowy jak tur i pracował jako przewodnik górski.

- I nie zgadzał się na badania?

- Po moich wielokrotnych nagabywaniach przez telefon wreszcie przyjął zaproszenie na dzisiaj. Dlatego się zdziwiłam, że zgodził się na wizytę u obcego lekarza.

- Podejrzewała pani chorobę neuronu ruchowego, prawda? - spytał cicho.

- Bez badań nie można niczego stwierdzić.

Powstrzymała się od komentarza, ale zrozumiała, że Matt podziela jej domysł. Choroba neuronu ruchowego prowadzą-

ca do zwyrodnienia komórek nerwowych w obrębie centralnego układu nerwowego to straszliwa przypadłość, która powoduje postępujący zanik mięśni, aż wreszcie całkowitą utratę ruchu. Odwróciła wzrok, bo nie chciała, żeby obcy mężczyzna dostrzegł smutek w jej oczach.

- Przykro mi, że potwierdzam pani podejrzenia - zwrócił się do niej ciepło. - Domyślam się, jakie to dla pani przykre. Wiem z rozmowy z panem Macdonaldem, że to przyjaciel rodziny.

Pokiwała głową.

- Jasper był przyjacielem mojego ojca i Franka. Razem jeździli na ryby i grali w golfa. Pięć lat temu mój mąż Sean i mój ojciec zginęli w wypadku samochodowym. Jasper pomógł nam przez to przebrnąć. Zawsze miał niespożytą siłę.

Urwała, bo wzruszenie nie pozwalało jej mówić. Wstała, podeszła do półki, na której trzymała pudełko chusteczek higienicznych.

- Przepraszam... - wybąkała, kryjąc przed nim twarz. Speszyła się jeszcze bardziej, gdy zorientowała się, że

trzyma w ręku dużą białą chustkę do nosa, a nieznajomy przygarnął jej głowę do swojej szerokiej piersi osłoniętej sportową koszulką.

ROZDZIAŁ DRUGI

Oderwała głowę od wygodnego miejsca na piersi Matta i odsunęła się od niego.

- Kilka łąz nigdy nie zaszkodzi. Można dać wtedy upust emocjom - skomentował, kiedy szła z powrotem do biurka.

- To na wspomnienie Jaspera i wypadku.

Przetarła dyskretnie oczy i zwróciła mu chustkę.

- Jak to się stało? - zapytał.

- Mój ojciec i Sean wracali od pacjenta z Esk Fell. Sean prowadził, samochód wpadł w poślizg na lodzie i stoczył się ze zbocza. Zginęli na miejscu.

- Musiała to pani strasznie przeżyć - powiedział cicho.

Odwróciła się na chwilę, żeby wziąć się w garść, a po chwili spyła:

- Na jak długo przyjechał pan do Phila?

- Na kilka tygodni - odparł. - Jeśli tylko będę potrzebny, natychmiast proszę mnie zawiadomić. - Dopiero teraz wytropiła cień australijskiego akcentu w jego głosie.

Po jego wyjściu wzięła torbę, kluczyki do samochodu, i zerknęła na listę pacjentów, których przyjął. Wciąż nie mogła wyjść z podziwu, że tak łatwo sobie z nimi poradził. Ale zaraz przypomniała sobie, jak na nią patrzył i co wtedy czuła. Pod wpływem długo skrywanych uczuć jej serce zaczęło bić jak szalone i zrobiło jej się gorąco.

Znowu poczuła się jak młoda dziewczyna - śmieszne, ale prawdziwe. Ta reakcja mogła brać się stąd, że po śmierci

Seana głęboko stłumiła uczucia. W pierwszej chwili zdenerwowała się nawet na Franka Morgana za to, że tak szybko przyjął pomoc obcego lekarza, ale potem złązała się w duchu.

Frank musiał się zająć Sereną Kay, kiedy ona, Abbie, pojechała z Michele do szpitala. Serena, która miała już za sobą kilka poronień, nie była łatwym przypadkiem. Abbie powinna być w przychodni, żeby ją przyjąć, podobnie jak powinna była porozmawiać z Jasperem, który bardziej od innych potrzebował jej wsparcia.

Z wyrzutami sumienia schowała listę do szuflady i ją zamknęła. Jakże często biła się z myślami, czemu powinna dać pierwszeństwo: rodzinie czy pracy? Po śmierci ojca Joely zaszła w ciążę, a matka wpadła w depresję. Życie całej rodziny zmieniło się nieodwracalnie, ale wszyscy usiłowali jakoś sobie radzić. Abbie dźwigała na swych barkach zarówno pracę, jak i obowiązki rodzinne.

I chociaż minęło już pięć lat, wciąż nie potrafiła rozsądzić, co jest ważniejsze. Aż tu nagle obcy mężczyzna wkracza w jej życie i po raz pierwszy od lat zwalniają ją z obowiązków, które dotąd przyjmowała bez szemrania.

Dwa dni później w sobotnie popołudnie siedziała w oranżerii w swoim wielkim domu rodzinnym, zastanawiając się, jak to możliwe, że w ogóle rozpatruje kandydaturę Matta Carriga na stanowisko lekarza. Naprzeciwko na rozłożystej kanapie siedział Frank Morgan, a po prawej Matt usadowiony wygodnie w rattanowym fotelu.

Do wieczora Abbie starała się unikać wzroku Matta, toteż wpatrywała się we własne notatki dotyczące rozkładu dyżurów. Wciąż dudniły jej w głowie entuzjastyczne słowa Rachel, kiedy nazajutrz rano ta młoda recepcjonistka wpadła do jej gabinetu.

- Doktor Carrig był wspaniały! - zachłystywała się. - Świetnie poradził sobie z pacjentami, jakby znał ich od lat. Nie sądzi pani, że ma dar nawiązywania kontaktu z ludźmi?

Abbie wzruszyła tylko ramionami i wetknęła nos w dokumenty.

- Pewnie ma.

- W Australii specjalizuje się w pediatrii, i doktor Morgan czytał jego artykuły. Ale... - Rachel westchnęła dramatycznie. - Te jego oczy! Moja mama twierdzi, że takie spojrzenie wprost „ciągnie do łóżka”, i naprawdę coś w tym jest!

Abbie zauważyła, że notatki zaczęły jej migać przed oczami. Nie potrafiła się skupić. Spotkali się, by omówić nieustający napływ przyjezdnych pacjentów, z powodu których ostatnio Abbie i Frank nie mogli się uporać z robotą.

- Chyba będziemy musieli otworzyć kolejny gabinet, Abbie - zbuntował się Frank po kolejnym takim męczącym popołudniu. - Inaczej nie damy sobie rady. Skoro ośrodek jest tak wysoko ceniony, musimy się liczyć z podwojeniem liczby pacjentów.

Musiała przyznać Frankowi rację. Ośrodek wypoczynkowy w Rendale cieszył się nie lada wzięciem, a dysponował szerokim wachlarzem atrakcji - od sztucznego stoku narciarskiego po jazdę konną. Ponadto oferował na miejscu kursy wybranych dyscyplin, bardzo ostatnio reklamowanych w mediach. Przyniósł rozkwit turystyki zarówno w Rendale, jak i w sąsiednim Hobcraig, ale dla przychodni oznaczało to więcej pracy.

- Chyba więc mamy szczęście, że Matt zgodził się zacząć od razu - oznajmił głośno Frank, na co Abbie się ocknęła.

- Matt, mówiłeś chyba, że do Adelaide wracasz dopiero w październiku, czyli do tego czasu możesz podpisać z nami kontrakt?

- Oczywiście. - Matt spojrzał na nią pytająco. - Jeżeli tylko Abbie się zgadza.

Zaledwie wczoraj wieczorem sprzeczała się na ten temat z Frankiem. Czy to mądre zatrudniać kogoś tymczasowo? Pacjenci wolą znajome twarze, a w minionym roku jakoś sobie poradzili we dwoje zarówno z turystami, jak z miejscowymi. Dlaczego więc mieliby sobie nie poradzić w tym roku?

Frank jednak nie dał za wygraną i w końcu Abbie zgodziła się niechętnie na to nadzwyczajne spotkanie. Teraz obaj mężczyźni czekali na jej odpowiedź.

- Owszem, mamy tu ostatnio młyn - przyznała. - I pewnie latem sytuacja się pogorszy. Frank, pozostawiam decyzję tobie.

Starszy wspólnik skinął głową, w jego znużonych oczach błysnęła ulga.

- Znasz moje zdanie, Abbie. Jeżeli skorzystamy z pomocy Matta, może uda mi się zagrać kilka partyjek golfa, zanim pogoda się popsuje.

Wówczas Abbie zrozumiała, pod jaką presją musi żyć stary przyjaciel jej ojca. Golf był jego pasją, podobnie jak niegdyś był pasją ojca. Zawsze się umawiali, że po przejściu na emeryturę wreszcie się w nim podszkole. Niestety, ten dzień nigdy nie nadszedł.

W tej właśnie chwili Bonnie Burchfield, matka Abbie, wniosła tacę z herbatą i rumianymi rogalikami. Ta wysoka, szczupła kobieta miała taką samą sylwetkę jak jej starsza córka.

- Witaj na pokładzie, Matt - przywitała go, usłyszawszy ostatnią uwagę Franka. - Odkąd otwarto ten ośrodek, miasto zyskało kompletnie nowy wizerunek - oznajmiła z dumą.
- Przed Rendale otwierają się nowe perspektywy.

Abbie odwróciła się do matki. Czują, że matka nie rozumie, w czym rzecz, ale ta spokojnie nalewała herbatę.

- Może i ja się teraz czymś zajmę, skoro Matt ci pomoże, córeńko - dodała cicho. - Rozważam zapisanie się na skrócony kurs dla początkujących przedsiębiorców. Mówiłam ci o nim w zeszłym tygodniu. Zawsze uważałam, że byłoby ciekawie prowadzić sklep. - Uśmiechnęła się do zaskoczonej córki. - Od śmierci twojego ojca wiecznie tylko zastępuję u ciebie chore recepcjonistki. Wiem, że Stephanie chętnie wzięłaby więcej godzin.

- Jeżeli ma pani takie same zdolności do prowadzenia interesów jak do pieczenia - odezwał się Matt, biorąc maślanego rogalika - to sukces murowany.

Po półgodzinie Abbie przeprosiła ich, wymawiając się wizytą domową, ale po wyjściu skierowała się do pobliskiego lasu. Chciała przez chwilę pobyć w ciszy. Nie mogła ogarnąć myślą tych błyskawicznych wypadków ostatnich dni. Właśnie doszła do cienia drzew, kiedy zaskoczył ją jakiś szelest.

Tuż przy niej wyrósł jak spod ziemi Matt. Ubrany był w dzinsy i sportową bluzę, jej zdaniem niestosowny strój na sobotnie popołudnie. Ona miała na sobie elegancki żakiet i obcisłą spódnicę, które rano włożyła do pracy.

- Idziesz do pacjenta? - zagadnął.
- Nie - przyznała, wiedząc, że ją przejrzał.
- Przeszkadza ci towarzystwo? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- W lesie jest bardzo spokojnie - wyjaśniła, przyspieszając kroku. - Chyba nie znajdziesz zbyt dużo rozrywek w Rendale.

- A ty uważasz, że szukam... właśnie rozrywek?
- Przecież jesteś na urlopie - powiedziała.
- Już nie - odparł. - Zostałem tymczasowo zatrudniony w waszej przychodni.

Zamilkła, zachodząc w głowę, dlaczego czuje się tak dziwnie w obecności tego mężczyzny. Miał trzydzieści lat, a więc był o pięć lat młodszy od niej, ale to chyba nie powód, by czuć się przy nim tak nieswojo? Czy przeszkadza jej jego młody wiek i żywotność? A może uczucia, jakie w niej wzbudza?

- Czyżbym cię czymś uraził? - spytał cicho.

- Matt, nie chciałabym być przykra...

- Ale...? - Uśmiechnął się cierpko.

- Przepraszam - odparła z namysłem. - Przyzwyczaiałam się do pracy z Frankiem, choć czasem oznacza to harówkę, i nie widzę powodów do zmiany...

- Frank nie chce dłużej pracować w takim stresie - prze-rwał jej. - Chociaż ty jesteś innego zdania.

- Owszem, lubię takie tempo - odparła, zastanawiając się, dlaczego musi się przed nim tłumaczyć. - Przez pięć lat Frank i ja radziliśmy sobie z obsługą tego rejonu. Czasem zatrudnialiśmy kogoś na kilka tygodni albo na poszczególne dni. Ale uważam, że przyjęcie ciebie aż do października...

- Mija się z celem?

Zawahała się, jakby wążąc w myślach słowa.

- Doceniam twoją pomoc.

- A mimo to wołałabyś, żeby zostało tak jak przedtem?

- Najwyraźniej Frank chce, żeby go odciążyć - odparła wymijająco. - Nie miałam pojęcia, że jest taki zmęczony.

- Może więc pora to zmienić?

Zobaczyła głęboką zmarszczkę na jego czole, aczkolwiek Matt nie wydawał się stropiony jej reakcją.

Gdy tak stali na polance, oświetlało ich przeświecające spomiędzy liści światło, a wokół unosił się zapach mchów i porostów. Łagodny wiatr rozwiewał jej włosy, omiatał twarz.

Może to wiosna, pomyślała Abbie i raptem zapragnęła się odsunąć, bo gdy spojrzała w ciemne, spokojne oczy mężczyzny, znów ogarnęło ją tamto dziwne uczucie.

- Jest coś... - zaczęła i urwała, chociaż wyraz jego twarzy zachęcał ją, by mówiła dalej. - Musisz mieć powody, dla których postanowiłeś pracować z nami. Czy wyjazd do Anglii nie miał być twoim urlopem?

Przez kilka sekund czekała niecierpliwie na jego odpowiedź.

- Jak już mówiłem, dostałem stanowisko lekarza rodzinnego i zamierzam je po powrocie przyjąć, a więc najbliższe miesiące dadzą mi okazję do zdobycia doświadczenia. Phil bardzo nalega, żebym został. Dawno się nie widzieliśmy, więc mamy mnóstwo do nadrobienia.

Pokiwała głową, bo to wyjaśnienie powinno rozwiać jej wątpliwości. Mimo to nie dawało jej spokoju poczucie, że wypadki następują po sobie zbyt szybko i że ona nie bardzo nad nimi panuje. Ale nie dała tego po sobie poznać.

W poniedziałek zjawiała się w ich małej przychodni przy Witty Street później niż zwykle. Frank zapoznał już Matta z panującymi u nich zwyczajami, a Betty Trowbridge, ich etatowa pielęgniarka, i Penny Moore, dyżurna recepcjonistka, dyskutowały, która z nich zaparzy lekarzom kawę.

Abbie zauważyła, że młody Australijczyk wniósł do ich pracy miłą odmianę. Zignorowała ich rozanielone miny i zniknęła w swoim gabinecie. Matt Carrig doprawdy niezłe namieszał w spokojnych wodach małego Rendale!

W gabinecie czekały na nią Joely i Michele.

- No i jak ten twój guz, psotko? - Abbie otworzyła ramiona, a Michele w nie wpadła, najwyraźniej cała i zdrowa.

- Dużo lepiej, ciociu Abbie. Mamy dla ciebie prezent. Zobacz. - Michele wskazała czerwone pudełko na biurku.

Abbie uściskała siostrzenicę.

- Przecież to nie są moje urodziny!

Michele zachichotała.

- Ale chciałyśmy ci podziękować. Mama i ja.

Abbie wzięła Michele za rękę i razem podeszły do biurka.

- Mam otworzyć?

- Nie. - Joely pokręciła głową. - Otwórz po pracy, kiedy będziesz miała więcej czasu. Teraz śpieszymy się do przedszkola.

- Och, mamusiu - jęknęła Michele. - Nie można teraz?

Joely zmierzwiła włosy córeczki.

- Chyba nie chcemy, żeby ciocia Abbie dławiła się czekoladkami przez cały dyżur, co?

- Przecież to nie są czekoladki, mamo, tylko... - Michele urwała i zarumieniła się, bo omal się nie wygadała.

- Dziękuję ci, kochanie. - Abbie pochyliła się i ucałowała siostrzenicę.

- No chodź, jedziemy! - zawołała Joely, biorąc córkę za rękę i wyciągając ją za drzwi.

Abbie patrzyła w ślad za nimi z czułą troską. Samodzielne życie najwyraźniej służyło Joely, która wydawała się znacznie szczęśliwsza, odkąd wyprowadziła się do małego domku.

Chociaż wiele matek decyduje się na samotne rodzicielstwo, Joely nie wybrała go sama. Tym właśnie zaowocował jej romans, w który się wdała, zdaniem Abbie, wskutek wstrząsu spowodowanego wypadkiem ojca i Seana. Bo przedtem Joely była beztroską dziewczyną, a po upływie tych pięciu lat poznała na własnej skórze smak życia, podobnie jak oni wszyscy.

- Kuszący widok. - Głos, który rozległ się za plecami Abbie, wyrwał ją z zamyślenia. W progu stał Matt i jej się przyglądał.

- To ma być tajemnica - wyjaśniła speszona. - Mogę utworzyć dopiero po pracy.

Uniósł brwi i chociaż nie skomentował jej słów, poczuła się w obowiązku wytłumaczyć mu wszystko.

- To od Michele i Joely - dodała, po czym zorientowała się, że otwiera szeroko oczy. - Czy coś się zmieniło...?

- Osłupiała na widok jego białej koszuli i gładkich ciemnych włosów.

- Poprosiłem znajomego postrzygacza owiec, żeby zadbał o moją fryzurę - powiedział z nieoczekiwanym uśmiechem.

- Widać nasze kumbryjskie owce nadążają za modą - odrzekła.

Stali tak uśmiechnięci, kiedy weszła Penny. Matt cofnął się, by ją przepuścić.

- Dwa nagłe wypadki z ośrodka - oznajmiła Penny, wręczając Abbie notatki. -I przyszedł mąż Sereny Kay.

- Najpierw przyjmę Grahama - postanowiła Abbie. - A proszę, żeby doktor Carrig zajął się przyjezdnymi.

Penny skinęła głową i spojrzała pytająco na Matta.

- Może pan zacząć, panie doktorze?

- Oczywiście - potwierdził i posłał Penny taki uśmiech, że dziewczyna czmychnęła do recepcji cała w pąsach.

- Jak się czuje Serena? - spytała Abbie, kiedy przywitała się już z Grahamem, który usiadł przed nią z zatroskaną miną.

- Ciężko leży, jak kazał pan doktor. - Graham Kay usiłował się uśmiechnąć. - Pewno w końcu znienawidzi łóżko.

Od lat znała Serenę i jej męża i wiedziała o kilku nieszczęśliwych poronieniach tej kobiety. Teraz, pod czterdziestkę, małżonkowie widać uznali, że czas nagli i że ta ciąża stanowi chyba ich ostatnią szansę.

- Chciałbym tylko wiedzieć, czy dziecko będzie zdrowe?
- spytał z niepokojem. - To znaczy, jeśli Serena donosi.
- Wyniki są świetne - zapewniła go Abbie, przeglądając badania Sereny. - Po prostu podtrzymuj ją na duchu.
- Ale jak? - Graham Kay aż się zachnął. - Żadne badania jej przecież nie przekonują.
- To może wpaść do niej pod koniec tygodnia?

Twarz mu się rozjaśniła.

- Oj tak. A mogłaby pani?
- Ależ oczywiście, Grahamie.

Wiedziała, jak bardzo pragną tego dziecka, toteż zapisała sobie, żeby wpaść do Sereny po Wielkanocy. Po wyjściu Grahama przyjęła długą kolejkę pacjentów, którzy zgłosili się po weekendzie z pospolitymi dolegliwościami. Zastanawiała się też, jak Matt sobie radzi w sąsiednim gabinecie.

Od czasu śmierci ojca przez jego gabinet przewinęło się kilku lekarzy, lecz żaden nie zagrzał tu miejsca. Przez ostatni rok korzystali z pomocy Boba Wesleya, jedyne go lekarza mieszkającego w okolicy.

W przerwie na lunch Penny powiedziała jej, że Matt wyruszył z mapą na zwiedzanie miasta, Abbie spędziła więc całą przerwę z Frankiem w pokoju dla personelu. Z tego pomieszczenia, wykładanego dębową boazerią, z terakotą na podłodze, duże oszklone drzwi prowadziły do ogrodu. W tej właśnie małej oazie stworzonej przez ojca, Abbie ustawiła w ogródku skalnym prostą mosiężną tablicę ku jego pamięci. Lubiła tam przebywać, oddawać się zadumie. I tam właśnie czuła największą bliskość Seana i ojca.

Po lunchu z ulgą i smutkiem przyjęła Jaspera Macdonalda, który schudł i zmizerniał jeszcze bardziej, chociaż próbował to nadrabiać miną.

- Chcę ci zrobić pewne badania - zwróciła się do niego stanowczo, mając nadzieję, że tym razem uniknie kłótni.

Jasper jednak, jak zwykle, miał własne zdanie.

- To niemożliwe, Abbie. W Wielką Sobotę prowadzę w góry grupę turystów. Będę się nimi zajmował przez cały tydzień.

- Ale to ważne - nalegała, wiedząc, że praca jest tylko wymówką - skoro mamy wykryć, co ci dolega.

- No to po świętach - ustąpił wreszcie. - Obiecuję, że wtedy się zgłoszę.

- A jak ten przykurcz?

Podczas ostatniej wizyty zauważyła, że Jasper ma sztywne palce, zanim je przygiął i szybko zabrał dłoń z jej biurka.

- To nic takiego. - Uśmiechnął się. - Tylko starość.

- Może byś trochę odpoczął? - zaproponowała od niechcena, by się nie wystraszył. - Kiedy ostatnio miałeś urlop?

Roześmiał się, chociaż mniej tubalnie niż zwykle, i ten urywany, wymuszony śmiech nie zabrzmiał bez trosko.

- Ejże, dzierlatko. Przestań mnie tu zabawiać, tylko daj mi coś na te moje bóle.

Westchnęła. Znał ją aż za dobrze, żeby się z nią spierać.

- No dobrze, powtórzę ci receptę na środki przeciwbólowe, ale tylko jedno opakowanie, bo doktor Carrig zapisał ci też w zeszłym tygodniu.

- Ech, te baby - mruknął, wsuwając receptę do kieszeni. A na odchodnym rzucił: - Widzi mi się, że dobry z niego chłopak.

- Tak ci się zdaje? - spytała, kryjąc uśmiech.

- Można było gorzej trafić.

- Pewnie masz rację.

- Żonaty?

- Nie - odparła. - I w październiku wraca do Australii.

- No to trzeba mu zaleźć za skórę, póki tu jest - oświadczył z chichotem.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Jesteś wolna? - spytał Matt, wchodząc do gabinetu.

- Tak, siadaj. - Poczowała znajomy zapach płynu po gołeniu, a jednocześnie przyspieszone bicie serca. - Jak ci poszło?

Wyciągnął nogi pod biurkiem i wzruszył ramionami.

- Dziękuję, bez problemów. Przyjąłem niejakiego pana Haskinsa. Cierpi na poważną chorobę wieńcową, a jego stan pogarszają, oczywiście, cygara, które pali.

Abbie pokiwała głową.

- Mnie się przyznaje do trzech dziennie, ale chyba zaniża ich liczbę.

- I nie rzuca?

- Próbuje, ale nigdy na długo. - Wzruszyła ramionami.

- Próbowaliśmy już wszystkiego, od przekupstwa po plastry nikotynowe, ale szybko się zniechęca.

- Nie wolno ustawać w wysiłkach. - Uniósł brwi. - Masz coś przeciwko temu, żebym ja spróbował?

- Nie, tyle że nie liczyłabym na sukces. Pewno zamknąłeś już listę na popołudnie? - spytała, zmieniając temat.

Skinął głową i położył wydruk komputerowy na biurku.

- Pięcioro przyjezdnych plus stali pacjenci.

Zauważyła kilka nie znanych sobie nazwisk, co oznaczało, że sezon wakacyjny w Rendale już się rozpoczął.

- Przecież w przyszłym tygodniu dopiero Wielkanoc - dodała. - Pewno wtedy lista urlopowiczów się podwoi.

- Dlatego właśnie tu jestem. - Wzruszył ramionami, najwyraźniej się nie przejął. - Frank zaproponował, żebym na porannym dyżurze zostawił godzinę dla przyjezdnych i w razie potrzeby ją rozszerzał.

- Owszem, niezły pomysł - przyznała, wstając, by zakończyć tę rozmowę. - Porozmawiaj z dziewczynami z recepcji. Na pewno chętnie przyjmą dodatkową pracę.

Wstał i podszedł do drzwi, lecz zanim je otworzył, rzucił na odchodnym:

- A skoro mowa o Wielkanocy, w sobotę Phil urządza barbecue. Joely powiedziała, że przyjdiesz.

Zawahała się, zdumiona, że siostra obiecuje coś takiego w jej imieniu.

- Też coś... Nawet mi nie wspomniała.

- No to wpadniesz?

- Jeszcze nie wiem. Zastanowię się.

Przyjrzał jej się przez chwilę, a potem uśmiechnął.

- Chyba powinnaś się czasem rozerwać. - Już miała mu odpowiedzieć, że ma aż nadto rozrywek, kiedy dodał: - Kto wie, może ci się to nawet spodoba?

- Kawy? - spytała Penny, stając w samą porę w drzwiach. Pokręcił z uśmiechem głową.

- Ale doktor Ashby na pewno się chętnie napije - mruknął jeszcze i wyszedł.

- Czy się napiję? Dziękuję, Penny.

Recepcjonistka patrzyła na nią pytająco, lecz ona błędziła myślami daleko, zastanawiając się, o co też mogło Mattowi chodzić.

ROZDZIAŁ TRZECI

W Wielki Piątek Abbie pojechała do szpitala w Rendale. Serena leżała w łóżku, włosy miała splecione w warkocz. Na widok Abbie chciała usiąść, lecz Abbie potrząsnęła głową i przysunęła sobie krzesło.

- Nie wstawaj, Sereno. Cieszę się, że wreszcie odpoczywasz.

- Ślicznie wyglądasz - pochwaliła Serena. - Ładnie ci w tej zielonej bluzce. Dobrana pod kolor oczu.

- To prezent od Michele.

- Jak ona się teraz czuje? - zapytała Serena.

- Na szczęście wszystko przeszło bez echa. - Abbie się uśmiechnęła. - Ale jak ty się czujesz?

- Nudzę się - przyznała Serena. - A kiedy mam za dużo czasu, od razu przemyśliwuję, czy dziecko urodzi się aby zdrowe. Szczególnie że w radiu i w telewizji słyszy się ostatnio tyle strasznych rzeczy.

- Poproszę pielęgniarkę, żeby wezwała do ciebie pana Rago - rzekła po namyśle Abbie. - Może zyskasz spokój, kiedy zamienisz z nim kilka słów podczas obchodu.

Serena zrobiła niepewną minę.

- Ci psycholodzy zawsze są tacy zajęci. Nie chcę im bez potrzeby zawracać głowy.

- Jeżeli zauważy twój niepokój, na pewno zajmie się tobą.

Serena westchnęła.

- Czuję, że kiedy tak leżę i się zamartwiam, to wyrządzam dziecku więcej szkody, niż przynoszę pożytku.

- Postaraj się myśleć pozytywnie - doradziła Abbie. - Czytałaś tak dużo psychologicznych książek, więc chyba wiesz, że zrobiłaś dla swojego dziecka wszystko, co w twojej mocy.

- Ale najtrudniej zastosować teorię w praktyce.

Rozmawiały jeszcze chwilę. Abbie siedziała u Sereny aż do przyjścia Grahama, który przyniósł żonie nowe książki. Potem pojechała do pacjentki z rozstrojem żołądka, po czym wróciła do domu.

- Masz na jutro zaproszenie na barbecue - powiedziała matka przy kolacji. - Prawda, że to miłe?

Świadoma, że matka czeka na odpowiedź, Abbie wzruszyła ramionami i zmieniła temat, bo nie chciała się deklorować. Kiedy nazajutrz rano zadzwonił telefon, odebrała go, sądząc, że to Joely.

- Przyjdiesz dziś wieczór? - spytał bez wstępów Matt.

- Postaram się - odrzekła z wahaniem, zastanawiając się, dlaczego właściwie tak go unika.

- Więc mogę potwierdzić Philowi, że przyjdiesz? - nalegał. - Pewnie chce wiedzieć, na ile osób ma się przygotować.

- W takim razie może na nas liczyć - odparła, mówiąc sobie w duchu, że niegrzecznie byłoby odmówić.

Po odłożeniu słuchawki od razu zaczęła się zastanawiać, w czym pójdzie. Wieczorem nadal nie miała jasności. Przejrzała całą szafę, wyjęła kilka par dzinsów, próbowała dobrać do nich bluzkę. Przymierzyła wszystkie, ale na żadną nie mogła się zdecydować - widocznie tego dnia była bardziej krytyczna. Normalnie włożyłyby dzinsy i z głowy, a tymczasem dziś...

W końcu zdecydowała się na sukienkę, którą kupiła na trzecie urodziny Michele. Rozkloszowana sukienka na ramiączkach, w pastelowych różach i zieleniach, znakomicie nadawała się na ciepły wieczór. Na urodziny Michele włożyła do niej płaskie czarne czółenka, ale dzisiaj wybrała modne śliwkowe sandaalki, które bardziej podkreślały deseń sukienki.

Z włosami nie miała problemu, bo wystarczyło je umyć, a same się układały. Kasztanowe włosy, rozjaśnione letnim słońcem, obramowywały lśniącym owalem jej twarz.

Całości dopełniły małe kolczyki z zielonego jadeitu osadzonego w mosiężnych muszelkach. Lubiła je, bo były dyskretne, a przy tym podkreślały zieleń jej oczu. Spryskała się delikatnie ulubionymi perfumami, po raz ostatni okręciła przed lustrem, a potem ruszyła na poszukiwanie matki.

- Na którą się umówiłaś? - krzyknęła Abbie, mijając łazienkę, w której matka brała kąpiel.

- A nie mówiłam ci, kochanie? Po południu zadzwoniła koleżanka i postanowiłam wybrać się z nią do kina - zawołała Bonnie, przekrzykując szum wody. - Na pewno nikt nie zauważył mojej nieobecności. Idź i baw się dobrze.

- Ależ mam... - zaczęła Abbie, po czym urwała, bo jej głos zagłuszyło radio grające w łazience.

Westchnęła, wróciła do swojego pokoju i zastanowiła się, czy mogłaby odwołać tę wizytę w ostatniej chwili. Ale w odróżnieniu od matki czuła się zobowiązana przyjść.

Kiedy zjawiała się w domu siostry, z ogrodu na tyłach dobiegały dźwięki muzyki i śmiechy gości. Już miała zapukać, kiedy otworzył jej Matt i gestem zaprosił do środka. Miał na sobie dżinsowe bermudy i koszulkę - pamiątkę z rafy koralowej.

- O, cześć! - powitał ją radośnie.

- Przyszła ciocia Abbie! - zawołała Michele, biegnąc w ich stronę, aż migały chude nóżęta w błyszczących zielonych legginsach. - Ślicznie wyglądasz, ciociu. I masz tę sukienkę, którą kupiłaś sobie na moje urodziny!

Abbie uśmiechnęła się z zakłopotaniem, tym bardziej że Matt też się uśmiechnął i dorzucił komplement od siebie. Michele złapała ją za rękę i pociągnęła wąskim korytarzykiem w kierunku gości. Po chwili znalazły się w gronie przyjaciół Joely. Abbie rozmawiała i śmiała się, a co jakiś czas czuła na sobie wzrok Matta, który pomagał przy robieniu barbecue i nalewaniu trunków. W miarę upływu czasu odkryła, że bawi się lepiej, niż się spodziewała. Kiedy Michele odeszła się bawić ze swą koleżanką Lucy, Matt zjawił się u boku Abbie z talerzem.

- To wszystko dla mnie? - spytała, patrząc na furę jedzenia piętrzącą się na talerzu.

- Joely powiedziała, że warto by cię dokarmić - odparł z uśmiechem. - Tam na murku jest trochę miejsca dla dwóch osób.

Usunęli się do ustronnego zakątka ogrodu. Abbie usiadła na murku i postawiła talerz na kolanach, Matt usiadł obok.

- Chyba już dobrze się czuje, skoro ma tyle energii - powiedział, wskazując głową Michele zajętą zabawą z Lucy.

- Rzeczywiście, chyba już wróciła do siebie - przyznała, wbijając wzrok w talerz.

- Cieszysz się, że przyszłaś? - spytał, a ona podniosła wzrok. - Bałem się, że zmienisz zdanie.

Na chwilę wstrzymała oddech, bo z domu dobiegły dźwięki lirycznej piosenki o miłości, która nagle wytworzyła szczególny nastrój.

- To nie w moim stylu - powiedziała nie do końca szczerze. - Ale mama odwołała przyjęcie w ostatniej chwili.

- Cieszę się, że jesteś - rzekł cicho, a gdy głośna muzyka

uniemożliwiła rozmowę, jedli w milczeniu, obserwując tańczących oraz dokazujące Lucy i Michele. Kiedy skończyli jeść, nachylił się ku niej i spytał: - Nie znasz tu gdzieś miejsca, w którym moglibyśmy nie krzyczeć?

- Czyżbyś nie lubił muzyki pop?

- Owszem, lubię - roześmiał się - ale w małych dawkach.

- Ja też - przyznała Abbie. - Tu niedaleko w lesie jest piękne miejsce widokowe.

- Cudownie!

Wymknęli się niepostrzeżenie przez boczną furtkę. Abbie nie zdawała sobie sprawy, że trzymają się za ręce, dopóki nie weszli do lasu. W ciemnościach ledwie widziała jego sylwetkę. Ciszę rozpraszał jedynie szelest zeschniętych liści pod stopami.

- Tęsknisz za Australią? - spytała, nagle stropiona tym niezręcznym milczeniem.

Pokiwał z uśmiechem głową.

- A tam z kolei tęsknię za Anglią. To dziwne uczucie, kiedy spędziło się po pół życia w dwóch krajach. Bo na przykład nigdzie nie ma takiej wiosny jak tu, nie wszędzie można znaleźć takie dzwonki leśne. No i to typowo angielskie poczucie humoru, wiejskie puby, Yorkshire pudding i śnieg na Boże Narodzenie.

- To dość długa lista.

- O, znalazłoby się więcej - dodał. - Angielski teatr, mroźne poranki, kamienne murki na miedzach, Noc Ognisk i skaliste wybrzeże.

- Też ci się tak podoba?

- Z kolei w Adelaide mam słońce, ocean, wspaniałe warunki do surfingu, szerokie przestrzenie. Ale jakoś bardziej dom kojarzy mi się z tymi jeziorami.

- Tu się urodziłeś?

Skinął głową.

- Miałem siedemnaście lat, kiedy tata wyemigrował. Był farmerem, ale przeniósł się z gospodarzeniem do Australii.

- Skorzystałeś na tym czy straciłeś? - spytała z zaciekawieniem.

- I jedno, i drugie. Mój brat przystosował się łatwiej. Jest pięć lat młodszy, więc nie zostawił tu tylu przyjaciół.

- Siedemnaście lat. - Westchnęła. - Nowy kraj. Wszystko nowe. To musi być nie lada przygoda.

- Owszem, była. Najpierw mieszkaliśmy w Sydney. Skończyłem tam studia, zrobiłem specjalizację z pediatrii, napisałem kilka artykułów. Ktoś uznał, że są warte publikacji. A powiesz mi coś o sobie? - poprosił cicho.

Wzruszyła ramionami.

- Pięć lat temu zrozumiałam, że muszę pogodzić pracę w przychodni z rodziną, mamą i Joely. No i Michele. Po jej urodzeniu jakoś tak wyszło, że zamieszkałyśmy wszystkie razem z mamą. Dopiero w zeszłym roku na Boże Narodzenie Joely postanowiła się wyprowadzić.

- A ty? - spytał życzliwie. - Nigdy nie chciałaś wyjść ponownie za męża?

Spojrzała na swoje ręce i machinalnie przekreśliła mały pierścionek z brylantem, który Sean dał jej na osiemnaste urodziny.

- Nie - odparła cicho. - W moim życiu nie było innego mężczyzny poza Seanem. Razem się wychowaliśmy, wiele nas łączyło, byliśmy przyjaciółmi. Nie sądzę, żebym znalazła drugi podobny związek w życiu.

- Przecież jesteś młoda, życie przed tobą. - Odgarnął jej z twarzy kosmyk kasztanowych włosów i założył go delikatnie za ucho. - Jesteś młoda i bardzo piękna. Nie możesz poświęcić całego życia pracy.

Nie odrywał od niej wzroku. Zdawało jej się, że ta chwila trwa wiecznie. Las był pogrążony w niezmałconej ciszy, serce biło jej mocno, a Matt przyciągnął ją do siebie.

- O, tak jest lepiej - szepnął. - Marzyłem o tym przez cały wieczór.

- Naprawdę? - spytała z drzeniem.

- Jeżeli masz coś przeciwko temu, to lepiej od razu mnie powstrzymaj - powiedział i uniósł jej podbródek.

W odpowiedzi zarzuciła mu ręce na szyję, sama zaskoczona swą reakcją. Wtedy obsypał ją pocałunkami, a potem splótł palce z jej palcami i zaczął je delikataie całować.

- Zaraz mi powiesz, że nie powinniśmy tego robić...

- Tak sądzisz? - spytała szeptem.

- A ja ci odpowiem, że pominąwszy łączące nas sprawy zawodowe, jesteśmy oboje wolnymi, dorosłymi ludźmi, którzy wykazują całkiem normalne zainteresowanie sobą.

- No więc mylisz się. Miałam zamiar powiedzieć, że od dawna nic takiego mi się nie przydarzyło.

- To niepotrzebnie głowiłem się przez całą noc, jak cię przekonać?

- A głowiłeś się?

- Żebyś wiedziała. Ostatnio nie mogę zmrużyć oka, bo tyle o tobie myślę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, znów ją pocałował. Poczula przyływ adrenaliny w żyłach i poddała się jego pocałunkowi, obezwładniona od dawna nie zaspokojoną tęsknotą.

- Chcesz już wracać? - spytał w końcu szeptem.

- A jest późno? - odpowiedziała pytaniem, wcale nie chcąc się z nim rozstawać.

- Na tyle późno, że pewno ktoś już zauważył. Jeżeli o mnie chodzi, moglibyśmy tu zostać całą noc.

Pomyślała, że byłaby to najpiękniejsza noc w jej życiu. Zahukała sowa, smyrznął im przed nosem nietoperz, zaszcze-kał lis, nawołując partnerkę, która schowała się w ostępach.

- Gdzie wyście się podziewali? - dociekała Joely, kiedy wrócili na koniec przyjęcia.

- Byliśmy na spacerze - odparł Matt, puszczając oko.

- Gdzie jest Michele? - Abbie uświadomiła sobie, że jest znacznie później, niż sądziła.

- Zasnęła na kanapie - oznajmiła z uśmiechem Joely. - Prosiła, żeby wszystkich pożegnać.

Abbie, pożegnawszy gości, weszła na palcach do salonu Phila. Michele spała z palcem w ustach, przykryta kołdrą. Jej jasne włosy rozsypały się na poduszce.

Joely podeszła cicho do Abbie.

- Co wyście tam knuli? - zapytała szeptem.

- E, nic - odparła Abbie z kamienną twarzą i pochyliła się nad śpiącą siostrzenicą, by odgarnąć jej włosy z czoła.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć siostrze... bo sama nie wiedziała. Wciąż czuła na wargach smak pocałunku Matta, a na całym ciele dotyk jego palców.

Phil i Matt weszli cicho do pokoju.

- Zaniosę potem Michele do domu - zaproponował Phil.

Kiedy opuszczali salon, Abbie pochwyciła spojrzenie Joely. Siostra uśmiechnęła się niespodziewanie, jak gdyby przejrzała Abbie na wylot.

- Na mnie też już czas - rzekła Abbie, wychodząc za Philem na korytarz i do ogrodu przed domem.

- Odprowadzę cię - zaproponował Matt.

- Dobranoc! - zawołali za nimi Phil i Joely.

- Mieszkanie po sąsiedzku ma swoje dobre strony - stwierdziła Abbie, kiedy Matt zarzucił jej swój sweter na ramiona i wziął ją za rękę.

- W przypadku Phila i Joely tak - przyznał.

Szli wolno, bez pośpiechu, bo nie chcieli, żeby ten cudowny wieczór się skończył.

- Czy Michele widuje swojego ojca? - spytał Matt.

- Nie. Michele to owoc wakacyjnego romansu. Joely nigdy potem nie widziała tego człowieka.

- Pewnie bardzo to przeżyła.

- Owszem. Dochodziła wtedy do siebie po śmierci taty. Ale teraz żadna z nas nie wyobraża sobie życia bez Michele.

A Phil? - spytała. - To twój kolega ze szkoły, prawda?

Matt pokiwał głową. Zbliżali się do domu Abbie.

- Ożenił się z miejscową dziewczyną, ale zostawiła go dla innego mężczyzny. Szkoda, bo to fajny facet.

- Wstąpisz na kawę? - spytała przy furtce.

- Dziękuję, ale już późno - odmówił, wciąż trzymając ją za rękę. - Nie chcę zakłócać spokoju w twoim domu.

Stali na podjeździe - dwie sylwetki oblane poświatą księżyca. Była cudowna wiosenna noc.

- Dziękuję za piękny wieczór - powiedziała.

- Spotkamy się znowu?

Roześmiała się cicho.

- A jakże. W przychodni w poniedziałek.

- Nie, nie chodzi o takie spotkanie.

Coś ukłuło ją w środku. Czy to nie za prędko?

- Nie odpowiadaj - poprosił. - Nie chcę przeżywać za-wodu.

Z tymi słowy pocałował ją i odszedł, gdzieś w oddali znów zahukała sowa, lecz magia wieczora wcale nie rozwiąła się wraz z jego zniknięciem.

Czy poczuła zawód, czy może ulgę, że nie przyjął jej zaproszenia? Abbie zastanawiała się nad tym przez chwilę, wchodząc do cichego domu. W salonie paliła się mała lamp-

ka, a pod nią leżała karteczka od mamy. „Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś, córeńko. Śpij dobrze.”

Kładąc się do łóżka, wiedziała, że od razu nie zaśnie. W głowie kłębiło jej się teraz mnóstwo obrazów - ojciec, Sean i młoda Joely z roziskrzonymi oczami. To były oczy młodości.

A teraz na obrzeżu tych myśli zamajaczył Matt. Jeszcze długo nie mogła zamknąć oczu, lecz gdy już zasypiała, przywołała wspomnienie lasu, ciszy i tego dreszczu, który poczuła, gdy Matt ją całował.

W poniedziałek wezwano ją do przypadku udaru słonecznego. Młody chłopak pływał łodzią po jeziorze Ullswater i oparzył sobie kark. Czuł się tak źle, że nie mógł przyjść o własnych siłach do przychodni.

Abbie zastosowała zimny kompres, obniżyła temperaturę ciała i poczekała, aż chłopak odzyska normalny oddech i tętno. Po jej powrocie okazało się, że Matt zdążył w tym czasie przyjąć swoich pacjentów. Kiedy po południu stanął w progu jej gabinetu, serce zabiło jej żywiej.

- Długo tu jeszcze będziesz? - spytał.

Pokiwała głową i podniosła na niego wzrok.

- Tak, i sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

- Dobrze, spotkajmy się więc wieczorem.

Los jednak chciał inaczej. Ponieważ miała dyżur, a wieczorem wypadła jej wizyta u pacjenta, spotkali się dopiero w piątek.

Tego dnia w jej gabinecie zjawił się Dave Carter, instruktor sportowy z ośrodka w Rendale. Abbie słyszała już to nazwisko.

- Właściwie chciałem iść do doktora Carriga - wyjaśnił - ale się dziś do niego nie dostałem.

Przejrzała kartę Cartera i przypomniała sobie krótką roz-

mowę z Mattem na temat napadów lęku chłopaka, chociaż dziś narzekał tylko na lewe oko.

- Boli mnie już od kilku dni - skarżył się - i nie najlepiej wygląda. Sądziłem, że to minie, ale chyba stan się pogorszył.

- Czy cierpi pan na katar sienny? - Zauważyła drobne przekrwione naczynka i nieco rozszerzoną źrenicę.

- Dawniej cierpiałem, ale nie mam go już od wieków - przyznał, wzruszając ramionami.

Włożyła rękawiczki i usunęła mętny wodnisty płyn wypełniający soczewkę oka.

- Alergiczne zapalenie spojówek można złagodzić kroplami - powiedziała. - Zapiszę je panu, ale proszę zadbać o czystość oka, żeby nie zakaził pan drugiego. - Wyrzuciła wacik i rękawice do kosza. - A poza tym jak się pan czuje?

- Chyba dobrze. - Wzruszył ramionami. - Nadal mię wam napady lęku, ale...

- Ma pan jakiś stres? - zapytała Abbie.

- Może, ale kto z nas nie ma? - Wyraźnie nie chciał o tym rozmawiać. - Muszę wracać do ośrodka. Dziękuję, że mnie pani przyjęła, pani doktor.

Po jego wyjściu jeszcze raz przejrzała kartę. Matt zalecił mu ponowną wizytę, ale gdyby nie ta historia z okiem, pewno Dave Carter w ogóle by się nie pokazał.

W jakiś czas później w jej gabinecie zjawił się Matt.

- Ciężki masz ranek? - spytał.

Skinęła głową.

- Tak, ale wejdź.

Wszedł i usiadł za biurkiem.

- Czyżbym widział tu wcześniej Dave'a Cartera?

- Owszem - potwierdziła, czując, że nadeszła stosowna chwila. - Chciałam z tobą o nim porozmawiać.

- W jakim on jest stanie? — zainteresował się Matt.
- Dzisiaj zgłosił się akurat z zapaleniem spojówek, chociaż odniosłam wrażenie, że chce się podzielić czymś innym, tylko się na to nie zdobył.

Pokiwał z zadumą głową, przejechał dłonią po włosach.

- Zmieniając na chwilę temat... - odezwał się - ciekaw jestem, jak wasi pacjenci przyjęliby poradnię dla dzieci.
- Poradnię dla dzieci? A dlaczego pytasz?
- Przyjąłem dzisiaj czworo dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Dwie infekcje ucha, przypadek nadpobudliwości, chyba jeden dyslektyk. Niektóre z tych dzieci chciałbym widywać regularnie. Stąd pomysł osobnej poradni dla dzieci.

- Ale wystarczy ci czasu?

- Na pewno go wygospodaruję.

Natychmiast wybiegła myślami w przyszłość. Dobrze Mattowi występować z nowymi pomysłami, ale jeśli wypała, kto się tego podejmie po jego wyjeździe?

- Pewno sądzisz, że nie zabawię tu na tyle długo, żeby ryzykować taki eksperyment? - zapytał domyślnie.

Pokiwała głową.

- Prawdę powiedziawszy, tak.

- W takim razie ty decyduj. - W jego ciemnych oczach malował się niezmacony spokój. - Podejrzewam, że w tej chwili żadna moja propozycja nie spotka się z twoim uznaniem. Biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się w sobotę, pewno żałujesz, że w ogóle mnie spotkałaś.

Serce zabiło jej szybciej i podniosła wzrok.

- Nie, ale chciałabym coś wyjaśnić.

- Więc żałujesz tego, co się stało?

- I tak, i nie - odparła, czerwieniejąc.

- Wolę tę drugą część odpowiedzi.

W tym momencie do gabinetu weszła Stephanie.

- Panie doktorze, spóźniony pacjent. Dwanaście lat. Chyba z grypą. Przyjmie go pan?

Matt skinął głową.

- Już idę.

Wstał, podszedł bez pośpiechu do drzwi i spojrzał na Abbie z tą samą zdziwioną miną, jak przed chwilą. Pomyślała, że zechce wrócić do tematu, ale wzruszył tylko ramionami i rzucił na odchodnym, że spotkają się później.

Po jego wyjściu zaczęła się zastanawiać, co by powiedziała, gdyby Stephanie nie weszła. W końcu uznała, że woli nie wiedzieć, bo Matt wystarczająco już ją zdenerwował. Otrzymała więc, zadowolona z tego, że przesłuchanie dobiegło końca i że teraz wszystko wróci pomału do normy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Dokąd się wybierasz? - spytała matkę w sobotę po południu, widząc, jak schodzi na dół.
 - Wychodzę - odparła Bonnie, wygładzając sukienkę i zerkając do lustra w przedpokoju. - Dobrze wyglądam?
 - Przepięknie. To nowa sukienka?
 - Tak, dość nowa. - Bonnie oblała się rumieńcem. - A ty, kochanie? Jedziesz z Michele na lekcję tańca?
 - Nie, dzieci mają teraz dwa tygodnie ferii.
 - Nie siedź w domu w taki piękny dzień. - Bonnie wyjrzała przez okno. - Znajomy obiecał, że wpadnie po mnie o drugiej.
 - To mężczyzna? - zdziwiła się Abbie. - Więc nie wychodzisz z Karen?
 - Nie - odparła Bonnie i znów się zarumieniła. - Nie znasz Dona. Poznałam go na kursie komputerowym.
 - Abbie szeroko otworzyła oczy.
 - Mamo... chcesz powiedzieć, że idziesz na randkę?
 - I to nie pierwszy raz...
 - Ale dlaczego nic mi nie mówiłaś? - zdumiała się Abbie.
 - Oj, kochanie, właśnie przyjechał. Opowiem ci o nim później, kiedy obie będziemy miały więcej czasu - rzuciła Bonnie, idąc pospiesznie do drzwi. - Może kiedyś przy kawie? No to pa, córenko.
- Przy bramie czekał samochód, którego kierowca otworzył matce drzwi od środka. Abbie wlepiła oczy w lśniący biały

pojazd, który ruszył z kopyta. Już miała zamknąć drzwi, kiedy podjechał inny samochód. Po chwili zorientowała się, że to wynajęty granatowy citroen Matta. I to on z niego wysiadł.

- Matt, co ty tu robisz?

- Szukam przewodnika. - Włożył ręce do kieszeni i przekrzywił głowę. - Wiesz, jak dojechać do Grassmere?

Przez moment w ogóle go nie rozumiała.

- A dlaczego pytasz? - wykrztusiła w końcu.

Wzruszył ramionami i spojrzał na piękne, czyste niebo.

- Bo dziś wymarzony dzień na... - Westchnął. - Usiłuję wymyślić pretekst, dla którego miałabyś pojechać ze mną.

- Do Grassmere? - zapytała.

Kiedy wreszcie do niej dotarło, do czego zmierza, aż jej podskoczyło serce.

- Jeśli dobrze pamiętam, jezioro Grassmere jest najpiękniejsze właśnie o tej porze roku. A widok zawsze jest dwa razy piękniejszy, jeżeli mamy go z kim podziwiać.

Rozsądek podszeptował jej, by odrzucić jego ofertę, lecz dzisiaj wcale nie miała zamiaru słuchać tego głosu.

- Muszę się tylko przebrać - mruknęła, lecz Matt wzruszył ramionami i oznajmił, że jego zdaniem wcale nie musi.

- Świetnie wyglądasz - rzekł po chwili, kiedy wsiadała do jego auta w prostej brzoskwińowej sukience i białych sandałach. Nie miała czasu, by zrobić cokolwiek z włosami, więc je rozpuściła. - Powinienem zaprosić cię do jakiegoś elegantszego miejsca, żeby się tobą pochwalić - dodał, na co się uśmiechnęła i pokryła spiesznie rozmową o pracy.

Matt wspomniał, że ostatnio spotkał Jaspera podczas swej wędrowki po górach z Philem.

- Tyle że on wybrał wyżej położony szlak - dodał - mimo że chodzi z wyraźnym trudem.

- Szedł z grupą? - spytała Abbie z troską.

- Wydaje mi się, że nie. Postaliśmy chwilę i poczekaliśmy, aż zacznie schodzić, ale i tak uważam, że nie powinien sam w tym stanie chodzić po górach.

Po przyjeździe nad Grassmere wstąpili do kafejki na pyszny podwieczorek podawany na talerzach ze słynnej kumbryjskiej kamionki, a zjedli go na tarasie z widokiem na jezioro. Abbie zaczęła opowiadać Mattowi o matce i tajemniczym Donie. Matt wcale sienie zdziwił; przeciwnie, pochwalił matkę ze szczerym entuzjazmem. Później, kiedy zeszli do miasteczka, Abbie kupiła płytę kompaktową dla Michele. Gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, wrócili nad jezioro. Idąc wzdłuż brzegu, znaleźli ustronne miejsce nad samą wodą.

- Przyjeżdżałem tu popływać z Philem - powiedział, kiedy przysiedli na skałach.

- Z której części Kumbrii pochodzisz? - spytała Abbie, gdy oparł się obok niej na łokciu.

- Nie z samej Kumbrii, tylko z sąsiedniego hrabstwa - odparł z nikłym uśmiechem. - Musieliśmy tu jechać cały dzień, ale w lecie było wspaniale. Zwykle przyjeżdżaliśmy rowerami i rozbijaliśmy namiot.

- Dlaczego wybrałeś pediatrię? - zapytała, obracając w palcach źdźbło trawy.

- Chyba dlatego, że w Australii nadarzyła się taka okazja. Poza tym uznałem, że mam dobry kontakt z dziećmi. A ty i Sean?

- Pytasz, dlaczego oboje tu zostaliśmy? - Często zastanawiała się, jak by to było, gdyby postanowili się stąd wyprowadzić i czy w innych okolicznościach założyliby rodzinę. - Chyba dlatego, że przychodnia taty nam odpowiadała. Po naszych wojażach zagranicznych z organizacją dobro-

czynną Sean chciał pomóc tacie otworzyć tu gabinet. Służba zdrowia przechodziła wtedy ogromne przemiany. Tata i Frank nie byli już tacy młodzi. Tata chciał przejść na emeryturę i zabrać mamę w jakiś rejs. Zawsze o tym marzył - do-
dała z zadumą.

Milczał przez chwilę, patrząc na nią.

- A o czym ty marzysz, Abbie? Czego oczekujesz?

Wzruszyła ramionami. Nie chciała mówić o marzeniu, które ostatnio chyba nawet bardziej się oddalało. W tym roku skończy trzydzieści pięć lat. Mimo że jej ciało tęskniło do upragnionego dziecka, w duchu zaczęła godzić się z faktem, że nigdy nie zostanie matką. Dawniej wierzyła, że Sean zmieni zdanie i że pomoże jej zrealizować marzenie o dużej rodzinie. Ale najpierw nie było na to czasu, a później zajmował się coraz bardziej gabinetem, nierzadko z pominięciem wszystkich innych sfer życia.

Marzenia stanowiły luksus, na który Abbie nie pozwalała sobie po jego śmierci. Rzeczywistość kazała jej zarabiać na chleb i dbać o pracę, a skryte nadzieje i pragnienia schodziły na jeszcze dalszy plan.

- Mam gabinet - odparła w końcu. - No i rodzinę. Niestety, na nic więcej nie starcza mi czasu.

- Ale czego pragniesz dla siebie? - nalegał Matt. - Na pewno musisz o czymś marzyć. Chociażby o dzieciach.

Zdumiał ją tym pytaniem, bo dotknął jej najgłębszej tajemnicy, którą tak skrętnie ukrywała od śmierci Seana. Pragnąc pomagać Joely, matce i Michele, a jednocześnie prowadzić dobrą przychodnię, pogodziła się ze swym losem.

A tu wkracza obcy człowiek i stawia pytania dowodzące istnienia głębokiej przepaści w jej życiu, a przy tym domaga się odpowiedzi, których ona nie potrafi mu udzielić.

- Dawno już zarzuciłam marzenia - odrzekła w końcu ze

spuszczoną głową. - Nawet nie wiem, czy jeszcze mi jakieś zostały. Cieszę się z pracy i z tego, że mieszkam w tak pięknej okolicy. Mam rodzinę, którą kocham i która kocha mnie... - Urwała, a potem drgnęła, czując jego rękę.

- Każdy powinien mieć jakieś marzenia. - Powiedział to tak uwodzicielskim tonem, że zadrżała, kiedy poczuła jego palce na skórze. - Potrzeba miłości to jedna z najważniejszych cech człowieczeństwa, Abbie. Jeżeli ktoś jej przeczy, to kłamie.

- Wcale jej nie przeczę- zaprotestowała, spoglądając mu w oczy. - Po prostu nie zdarzyło mi się to po śmierci Seana.

- Może nie otworzyłaś się na takie uczucie - odparł cicho. - Może powinnaś spróbować. - Nachylił się ku niej, a ona czuła, że zaraz ją pocałuje. - Chociażby w ten sposób...

Zaczęła się odsuwać, czując na twarzy jego oddech.

- Abbie - szepnął i dotknął ustami jej warg.

Poczuła, że jej ciało ulega, że ogarnia ją fala wielkiego pożądania. Zamknęła oczy. Objął ją w pasie, przyciągnął do siebie, i wtedy pojęła, że nie może dłużej walczyć.

- Abbie...? - szepnął ponownie i przytulił ją do siebie tak mocno, że na moment straciła oddech.

W odpowiedzi rozchyliła wargi, a po całym jej ciele rozlało się ciepło i jakaś nowa energia. Serce biło jej jak szalone, wrywając się wprost ku niemu. Kiedy się od niej oderwał i odgarnął jej włosy z twarzy, ona, wtulona w niego, zrozumiała, że słowa są teraz zbędne. Pojęła też, że wcale nie chce, żeby ten dzień się skończył. Pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie, odpychając myśli o jutrze i o ryzyku związanym z pozwalaniem sobie na takie uczucie.

Wtem zauważyła, że ktoś im się przygląda. No tak, nie liczyła się z tym, że mogą spotkać kogoś w tej okolicy. Zauważyła kątem oka jakiś ruch i odskoczyła. Ścieżką nadeszła

para młodych ludzi i uśmiechnęła się do nich. Abbie nerwowo poprawiła ramiączko sukienki.

- Sądziłam, że jesteśmy sami - powiedziała, próbując ukryć zażenowanie.

- A przeszkadza ci to?

- Nie. - Potrząsnęła głową, a potem się roześmiała. -

Znów się poczułam jak uczennica.

- Czy ty się nigdy nie odpętasz? - spytał.

- Prawie nigdy tak jak teraz - przyznała. - Ale też nigdy nie kusiło mnie, żeby spróbować.

- Abbie, i co dalej? - zapytał.

To pytanie zadawała sobie i ona, a ponieważ nie znalazła jednoznacznej odpowiedzi, milczała. Matt splótł palce z jej palcami, oparł się o skałę i znów zmarszczył czoło.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała cicho. - Ale wiem, że od dawna nie czułam się taka szczęśliwa.

Zamyślił się, a potem przeniósł wzrok na jezioro. Raptem wstał i przyciągnął ją do siebie.

- Chodź, nie zmarnujmy ani chwili z tego pięknego wieczoru. Przejdźmy się i wstąpmy na drinka przed powrotem do domu.

- Chętnie.

Zadowolona z obrotu sprawy, ruszyła z nim na spacer. Szli objęci, rozmawiając o sobie i o wspólnych zainteresowaniach. W trakcie rozmowy Abbie zrozumiała, że coś się między nimi zmieniło. Ponieważ wiedziała, że może ich połączyć jedynie krótki romans, zastanawiała się, czy w ogóle warto go rozważyć. Kilka tygodni wcześniej nie zaprzętałyby sobie głowy taką myślą, ale teraz coś ją do Matta ciągnęło. Jego wyjazd do Australii zakończy w naturalny sposób ich związek, więc dlaczego nie miałyby się przez ten czas cieszyć jego towarzystwem?

I chociaż do niedawna bała się, by Joely nie zaangażowała się w taki związek, to teraz sama zaczynała to robić. Tyle że dwudziestopięcioletnia Joely szukała stabilności, bezpieczeństwa, no i ojca dla Michele. Abbie wiedziała, że Joely traktuje teraz te sprawy poważnie.

A ona?

Pojęła, że stawia sobie pytania bez odpowiedzi. Po śmierci Seana zajęła się pracą i rodziną. Prowadziła bardzo skromne życie towarzyskie, poświęciła się więc pracy do tego stopnia, że prawie zapomniała, jak to jest spacerować po plaży w ciepły wieczór w towarzystwie mężczyzny.

Podczas spaceru w głowie kłębiły jej się te i inne pytania. Czy to grzech cieszyć się życiem? Życie jest dla żywych, a ona po śmierci Seana zrobiła dla siebie doprawdy niewiele. Może nadszedł czas, by to zmienić. Czemu miałyby się nie zabawić? A kiedy rozmawiali długo w noc nad drinkami w nadbrzeżnym pubie, stwierdziła, że i tak nie ma większego wyboru. Najwyraźniej los wziął sprawy w swoje ręce, a ona tylko była z tego zadowolona.

W następnym tygodniu do niewielkiego Rendale zjechało mnóstwo gości. Abbie widziała, że Matt świetnie sobie radzi z przyjezdnymi. Poranne dyżury nie nastęrczały mu żadnych kłopotów, podobnie jak męczące upalne popołudnia. Znajdował nawet czas, by poznać okolicę.

Zawsze na jego widok ogarniał ją dreszczyk podniecenia, aczkolwiek żadne z nich nie wspominało tamtego dnia spędzonego nad Grassmere. Abbie starała się nie ulegać emocjom, ale jak zauważyli jej najbliżsi, ostatnio promieniała.

Sama widywała podobny efekt u kobiet w ciąży. Kiedy kobieta jest szczęśliwa, widać to po jej oczach, włosach, języku ciała i rozmowie. Od lat tak jej nie rozpie-rało szczę-

ście. W pracy jednak zadreżczała się Jasperem Macdonaldem. Pewnego ranka wszedł do jej gabinetu i usiadł ciężko na krześle.

- Posłuchałem cię, dzieciatko - oznajmił, z trudem łapiąc oddech - i zrobiłem te badania. W szpitalu chcieli zatrzymać mnie jeszcze na tydzień, ale się nie zgodziłem. Nie mogłem wytrzymać w zamknięciu, bez świeżego powietrza i bez gór.

Wygląda okropnie, pomyślała Abbie.

- Musisz mi powiedzieć, co podejrzewasz - poprosił cicho. - Wolę znać prawdę.

- Nie mam pewności... - zaczęła, ale jej przerwał.

- Nie jestem w ciemną bity. Nie na darmo kumałem się z twoim ojcem przez tyle lat - wtrącił ze zniecierpliwieniem. - Czy to rak?

No tak, przyjaciel ojca nie lubił owijania w bawełnę. Czas na szczerą odpowiedź, pomyślała, i już bez ociągania przedstawiła mu swój domysł.

Jasper wcale się nie zdziwił. Obiecał, że przyjdzie za tydzień, żeby razem z nią obejrzeć wyniki badań, i pożegnał się. Siedziała zatopiona w myślach, kiedy wszedł Matt.

- Widziałaś przed chwilą Jaspera? - spytał cicho. Skinęła głową i przedstawiła mu przebieg rozmowy.

- I jak to przyjął?

- Trudno powiedzieć. A ja chcę poczekać na wyniki.

Matt usiadł bokiem na jej biurku.

- Niestety, moje wiadomości nie są lepsze. Przed chwilą przyjęto do szpitala Dave'a Cartera.

- Tego instruktora sportowego z napadami lęku?

Skinął głową.

- W szpitalu pytają o kontakt z jego rodziną. Znalaziono przy nim jedynie kartę z naszej przychodni.

Abbie spojrzała na niego zdziwiona.

- A próbowali w ośrodku?
- Nie mam pojęcia. Powiedziano mi tylko, że miał wypadek motocyklowy. Leży na intensywnej terapii.
- Obrażenia są poważne? - spytała z niepokojem.
- Jego stan się waha. Ma krwotok wewnętrzny. Lekarz prosił mnie o wszelkie informacje medyczne na jego temat. Obiecałem, że tam wpadnę w drodze do domu. Pojedziesz ze mną?
- Oczywiście - zgodziła się, uświadomiwszy sobie, że to ona ostatnia rozmawiała z Dave'em Carterem.
- No to weźmy mój samochód, a potem cię tu odwiozę.
- Dobrze. Jeśli nic mnie nie zatrzyma, kończę dziś o szóstej.

Po jego wyjściu w gabinecie pozostał słaby zapach wody kolońskiej, który przyprawiał Abbie o niepokój.

Motocykl Dave'a Cartera nadawał się na złom. Natomiast kierowcę samochodu, który doznał jedynie powierzchownych obrażeń, od razu wypisano ze szpitala.

- Nie ma urazu kręgosłupa - oznajmił Mattowi i Abbie lekarz z intensywnej terapii. - Wciąż odzyskuje i traci przytomność, ale najbardziej martwi nas ten krwotok wewnętrzny.

Przez przezroczysty parawan patrzyli z niepokojem na nieruchomego Dave'a Cartera. Leżał opłatany gęstwiną przewodów i różnych urządzeń, twarz miał oszpeconą rzędem szwów biegnących od policzka do ucha, lewą rękę unieruchomioną w gipsie.

- Wiecie coś o nim? - spytał lekarz. - Każda informacja jest tu na wagę złota.

- Niestety niewiele. - Abbie westchnęła. - To nie jest nasz stały pacjent. Ostatnio leczyłam u niego zapalenie spa-

jówek, a przedtem widział go raz doktor Carrig.

- Przypominam sobie, że mówił coś o kłopotach domowych - dodał Matt. - Wyrażał się mgliście, ale chyba się nimi martwił. Pokazałem mu kilka technik relaksacyjnych, żeby mógł sobie poradzić w razie napadu lęku. Poprosiłem, żeby się jeszcze pokazał, bo chciałem go lepiej poznać.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Próbowaliście się kontaktować z ośrodkiem w Rendale?

- spytała w końcu Abbie.

- Tam wiedzą o nim jeszcze mniej. Był bardzo skryty.

- I nie mają żadnego telefonu do rodziny?

- Widocznie nie.

Uznawszy, że nic tu po nich, wyszli oboje ze szpitala.

- Niewiele im pomogliśmy - powiedział Matt, kiedy wsiadali do jego samochodu.

- Może ktoś znajomy zacznie pytać o niego w ośrodku

- stwierdziła Abbie bez większego przekonania.

Matt już miał zapalić silnik, gdy oderwał rękę od stacyjki, odchylił się w fotelu i zwrócił do Abbie:

- Może zechciałabyś oblać dziś ze mną nowe mieszkanie

- zaproponował z wahaniem. - Przeprowadziłem się tam w piątek wieczór. Wprawdzie to tylko niewielki domek z tarasem, ale w lodówce czeka butelka wina, którą trzeba otworzyć.

- Wyprowadziłeś się od Phila? - spytała zaskoczona Abbie.

- Uznałem, że za bardzo go wykorzystuję. A poza tym ostatnio częściej przyjmuje gości.

Abbie dopiero po chwili zrozumiała aluzję.

- Chodzi ci o Joely?

Pokiwał głową.

- Skoro więc mam zabawić jakiś czas w Rendale, uznałem, że muszę znaleźć coś blisko przychodni.

- W takim razie... wypijmy za twój nowy dom.
 - Musisz mi wybaczyć bałagan - rzekł, zapalając silnik i zerkając w lusterko wsteczne przy cofaniu.
 - A gdzie jest ten dom? - spytała zaintrygowana.
 - Kilka domów za Jasperem. - Uśmiechnął się radośnie.
- Mam kilka rzeczy w lodówce, ale może dokupić coś po drodze?

Potrząsnęła głową na znak, że zadowolona jest, co jest. Poczowała takie zdenerwowanie, że wcale nie miała ochoty na jedzenie.

Jasper mieszkał w wielkim domu odgradzonym od ulicy niskim rzędem krzewów. Gdy go mijali, nie zauważyli tam żadnego ruchu.

Wieczór był piękny. W żywości wciąż tkwiła tabliczka z napisem: Do wynajęcia. Matt otworzył z uśmiechem drzwi.

- Witam w moim domu - przywitał ją, kiedy ruszyła korytarzem. - Idź prosto do kuchni.

Otworzyła sosnowe drzwi i uśmiechnęła się na widok małego, przytulnego pomieszczenia.

- Bardzo tu ładnie, Matt.

- Jeszcze nie widziałaś reszty, ale może najpierw zjemy? Pokiwała głową, bo raptem poczuła głód.

- Chętnie. A co masz?

Gdy otworzył lodówkę, zajrzała do środka. Mile zaskoczył ją widok pełnych półek. W końcu zdecydowali się na omelet, sałatkę i butelkę wina. Abbie przyrządziła sałatkę, a Matt usmażył omelet. Jedli, siedząc przy kuchennym stole, ale niewiele pili. Po kolacji zmyli, odstawili naczynia i dolali sobie wina. Potem Abbie obejrzała zapuszczony ogród z tyłu domu, w którym gdzieś pyszniły się ocalałe cudem kwiaty.

- Szkoda, że taki zaniedbany - skomentowała cicho - bo jest przepiękny.

- Ale przynajmniej jest zaciszny. Chroni go solidny płot, a w szopie stoi leżak. Więcej mi nie trzeba.

Odwróciła się do niego.

- Myślałeś kiedyś o tym, żeby założyć rodzinę? - spytała.
- To znaczy w Australii?

Wzruszył ramionami, oparł się o wysłużone deski szopy.

- Kiedyś miałem kogoś, ale rzeczywistość okazała się mniej atrakcyjna od wyobrażeń.

- I mieszkaliście razem?

Pokiwał głową.

- Przez jakiś czas. Dopóki Lisa nie stwierdziła, że nie odpowiada jej życie u boku lekarza. Miała własną pracę.

- A co robiła? - spytała z zainteresowaniem Abbie.

- Była rzeczniczką prasową pewnego nafcjarza. -

Uśmiechnął się ironicznie. - Teraz jest mężatką, jeździ po całym świecie, obraca się w kręgach potentatów. Nie chciała założyć domu, a przynajmniej nie taki, o jaki mnie chodzi. Dzieci i pieluszki przeszkadzałyby jej w karierze.

- A tobie zależało na rodzinie? Nie na Lisie?

- Wtedy tak. Chyba źle się zgraliśmy w czasie. Ale - wyciągnął do niej ręce - to stare dzieje. Teraz wiem, na czym mi zależy - dodał pełnym napięcia głosem. - Pytanie tylko, czy tobie też?

Podniosła wzrok i skinęła głową. Wtedy przywarł ustami do jej warg, splótł palce z jej palcami i zaprowadził ją na górę. Gdy się kochali, sypialnię oświetlały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Później leżeli odprężeni, nasyceni sobą. Z Seanem nigdy tak się nie kochała. Może dlatego, że znali się od dawna, a może po prostu dlatego, że nigdy nie połączyła ich prawdziwa namiętność.

Obudziła się w obcym miejscu. Jedno okno wychodziło na granatowe niebo usiane migocącymi gwiazdami. W pokoju panował półmrok, na ścianach płąsały cienie kołyszących się za oknami drzew. Przeciągnęła się leniwie w nadspodziewanie wygodnym podwójnym łóżu i poczuła przy sobie ciepłe ciało Matta. Pomyślała, że mogłaby tak leżeć nie wiadomo jak długo.

Wtedy on się poruszył, przyciągnął ją do siebie, powiodł ręką po jej biodrach, a potem dotknął delikatnie jej piersi. Zarzuciła mu ręce na szyję i przebiegła palcami po włosach, napawając się bliskością jego ciała. Świadoma, że jeszcze przez chwilę nie muszą wstawać, odwróciła ku niemu twarz spragnioną pocałunku.

- A jeżeli obiecuję ci zrobić śniadanie - spytała, kiedy wreszcie nastał prawdziwy świt - to zgodzisz się skoczyć po gazety? Moglibyśmy poczytać razem w ogrodzie.

- Chyba się zgodzę. - Pocałował ją, a potem oparł się na łokciu i zapatrzył w jej oczy. - Abbie, co z nami...?

- Chodzi ci o to, czy powinniśmy się nadal widywać?

Odgarnął jej włosy z twarzy i skinął głową. Kiedy milczała, wpatrzona w jego oczy, przesunął palcem po jej szyi i rzekł:

- Chciałbym cię częściej widywać, ale nie wiem, co ty na to. Nie chciałbym, żebyś czuła wobec mnie jakieś zobowiązania. A gdybyś zechciała ode mnie odpocząć, to daj mi znać. Przrzekam ci, że to nie wpłynie na nasze stosunki w pracy.

Była mu wdzięczna za te słowa. Oparła się o poduszkę i zastanowiła, jak to będzie mieć kochanka po tylu latach. Na razie czuła się rewelacyjnie. Czego miałyby więcej żądać od życia? Wtedy przyciągnął ją do siebie i szepnął:

- Zgadza się na wszystko, ale teraz...

Zrobiła zdziwioną minę, a wówczas naciągnął im kołdrę na głowy, przez co śniadanie przesunęło się na później.

Pierwszego maja Serena Kay urodziła zdrową dziewczynkę. Graham zadzwonił do przychodni, kiedy Abbie kończyła naradę z Mattem, Frankiem, recepcjonistkami, sekretarką Jill Nials, siostrą Betty Trowbndge i pielęgniarką środowiskową Jackie Dunn. Omawiali odejście Bonnie z pracy, nowych pacjentów Matta oraz kwestię poradni dla dzieci.

Graham zadzwonił w pół do dziewiątej rano tuż przed otwarciem przychodni, kiedy cały personel po pół godzinie burzliwych obrad chętnie przystał na zakończenie spotkania.

- Rachel, zadzwoń, proszę, do Grahama Kaya i powiedz mu, że zajrzę do szpitala później - poprosiła Abbie recepcjonistkę.

Dziewczyna obiecała, że to zrobi.

- Matt? - zawołała Abbie, kiedy jego wysoka sylwetka zamajaczyła w drugim końcu sali. - Masz chwilę?

Skinął głową i poszedł za nią do jej gabinetu. Tam, za zamkniętymi drzwiami, pochylił się, żeby ją pocałować, ale odskoczyła, bo usłyszała głosy na korytarzu.

- Co twoim zdaniem inni myślą o tej poradni dla dzieci? - spytał, kiedy uśmiechnęli się do siebie, bo kroki się oddaliły.

- Chyba wszyscy są zgodni - odparła, uciekając myślami do tych nielicznych chwil intymności, które spędzili razem od czasu pamiętnej wycieczki nad Grassmere.

Nazajutrz po nocy miłosnej odwiózł ją do przychodni, skąd zabrała samochód i pojechali do niej na śniadanie. Jej matka, jak zawsze dyskretna, o nic nie wypytywała, lecz Abbie przyznała się szczerze, że spędziła noc w domu Matta.

Teraz, wyglądając przez okno, pomyślała, że chętnie spędzi

dziłaby następny dzień z Mattem, pływając łódką po jeziorze i urządzając piknik na zboczu góry.

- Mogę liczyć na twoje poparcie? - Głos Matta wdarł się w jej myśli.

- To szantaż - odparła ze srogą miną, na co on skinął bezczelnie głową.

- Ale czy skuteczny?

- Będziesz musiał przekonać Jill, żeby opracowała nowy grafik dyżurów.

- Ma się rozumieć. - Wyjął z kieszeni koszuli złożoną kartkę. - Wstępnie ustaliłem godziny przyjęć. Najlepiej będzie przyjmować dzieci po szkole i pod koniec tygodnia. Na przykład godzina w piątek wieczór.

- Chyba wtedy mamy dyżur dla palaczy - przypomniała Abbie.

Wróciła do biurka, spojrzała w grafik, ale co chwila wyglądała przez okno. Teraz nad jeziorem byłoby najpiękniej, niebo byłoby najbardziej przejrzyste.

- To mi nie przeszkadza - stwierdził Matt, absolutnie nieświadom jej myśli. - Nawet tym lepiej, bo pielęgniarka będzie na miejscu.

- Ale to chyba nierealne - rzuciła Abbie z roztargnieniem. - Bo pewno późno kończysz pracę.

- Już wstępnie zarezerwowałem przychodnię na przyszły piątek - wyznał ze skrucą. - Janine Gillette, zapalenie ucha; Michael Ferguson, kłopoty z nauką; Susan Cox, kłopoty z zachowaniem, i Katey Marsh, kłopoty z nadwagą.

- Widzę, że nie próżnujesz - powiedziała z uśmiechem.

- Może to tylko entuzjazm na początek. Może później nie będę miał nic do roboty. Ale nie zaszkodzi spróbować.

- Zastanawiałam się... - zaczęła Abbie z wahaniem, ale urwała.

- Wcale mnie nie słuchasz - powiedział z wyrzutem, ni-
by to zawiedziony, ale też miał już dosyć spraw służbowych.

- Po czym poznałeś?

- Po oczach.

- Myślałam, że wspaniale byłoby wyrwać się w taką po-
godę choć na dwa dni.

- Świetny pomysł - podchwycił od razu. - Na przykład
kiedy?

- Powiedzmy w ostatni weekend maja albo pierwszy
czerwca? - zaproponowała. - Do tego czasu ustalimy już
dyżury.

- Ile szczęścia człowiek może wytrzymać jednego dnia?
- spytał z namysłem.

Abbie wyciągnęła kalendarz i coś w nim zapisała.

- Tylko nie zapomnij sobie zanotować.

- Już to zrobiłem - odparł z rozmarzeniem. - A tymcza-
sem co powiesz na kolację dziś wieczór?

- Chętnie, ale mam dyżur...

- No to co? Przecież musisz jeść, a ja mam coś specjalnie
do piecyka. Będziemy zachowywać się przyzwoicie i po pro-
stu sobie rozmawiać.

- Nie wiedziałam, że masz piecyk - rzuciła z uśmiechem
niedowierzania.

- Mam, choć tymczasem w garażu. Poprzedni lokatorzy
wynieśli go, bo używali tej koszarnej mikrofalówki.

Zadzwoił telefon.

- Pierwszy pacjent - rzekła Abbie ściszym głosem, na
co Matt westchnął i ruszył do drzwi. - Do zobaczenia wie-
czorem! - zawołała, przykładając słuchawkę do ramienia.

Skinął głową, uśmiechnął się zagadkowo i zamknął za
sobą drzwi.

Wieczorem, po wizycie u Sereny i jej córeczki Moniki, Abbie zjadła z Mattem kolację. W świeżo wyszorowanym piecyku upiekł pstrąga w sosie grzybowym, a na deser podał szarlotkę polaną sosem waniliowym. Bardzo jej zaimponował. Już miała go pochwalić, gdy zabrzączał pager.

- Miło było, ale krótko - jęknęła, odsuwając krzesło.

- Ktoś cię wzywa? - Wodził za nią wzrokiem, kiedy pakowała się do wyjścia.

- Arthur Haskins - wyjaśniła. - Ma kłopoty z żołądkiem.

- Nasz Arthur, który wypala trzy cygara dziennie? -

Uniósł brwi z powątpiewaniem. - Ale wrócisz na ser i krakersy?

- Przecież ich nie masz - powiedziała ze śmiechem. -

Ale dzięki za dobre chęci. - Pocałowała go na pożegnanie.

- Muszę przyznać, że bardzo mnie kusi perspektywa powrotu tutaj.

Odprowadził ją do drzwi, pomachał z progu. Kiedy mijała dom Jaspera, od razu zmienił jej się nastrój. Wrócił niepokój, bo Jasper miał ją odwiedzić w piątek. Do tego czasu zdążą nadejść wyniki badań, a w duchu czuła, jakie wieści przyniosą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wizyta u Arthura Haskinsa zdumiała ją. Po pierwsze okazało się, że Arthur, cierpiący na poważny rozstrój żołądka, rzucił ukochane cygara.

- Od jak dawna pan nie pali? - zapytała, wypisując receptę.

- Już od dwóch tygodni - odparł słabym głosem - od ostatniego ataku serca. - Leżał w łóżku. Wyglądał bardzo żałośnie.

- A co sprawiło, że pan rzucił palenie? - spytała Abbie, wręczając receptę żonie Arthura, Elspeth.

- Opowieść o pewnym aborygenie - odparł.

- Co takiego?

- No, historia starego aborygena, który kopał jak komin - wyjaśniła Elspeth. - Pewnego dnia skręcił sobie jakąś dziwką roślinę w buszu i zapalił, i omal nie umarł. Na szczęście wyzdrowiał w szpitalu, tyle że obudził się ze śpiączki dopiero po sześciu tygodniach.

- Miał wtedy siedemdziesiąt dwa lata - dodał Arthur. - I dożył stu dwóch. A więc przeżył trzydzieści bez palenia.

- Dwa tygodnie temu doktor Carrig był tu u Arthura podczas jego okropnego ataku duszniczy - wtrąciła Elspeth. - Poprosił go, żeby wyobraził sobie, że właśnie się budzi ze śpiączki. A potem spytał, czy chciałby żyć jeszcze przez trzydzieści lat.

- Postanowiłem spróbować - przyznał Arthur. - I cho-

ciaż ten rozstrój męczy mnie już prawie od tygodnia, nie sięgnąłem po cygaro.

- Przeszedł pan poważne zapalenie żołądka i jelit - wyjaśniła Abbie, wstając. - Dioralit pana dowodni i uzupełni sole utracone podczas biegunki. Niebawem lepiej się pan poczuje i zacznie jeść. Wtedy znowu zapachną panu cygara.

- Proszę powiedzieć doktorowi Carrigowi, że nie wychodzi mi z głowy te trzydzieści darowanych lat - powiedział Arthur. - To trzydzieści finałów mistrzostw w rzutki w pubie „Pod Dzikim”. Nie zrezygnuję z nich tak łatwo. Może wejdziemy w tym czasie do pierwszej ligi.

- Ech, te jego rzutki - mruknęła Elspeth, odprowadzając Abbie do drzwi. - Doktor Carrig przejrzał Arthura na wylot.

Nazajutrz rano, kiedy Abbie powtórzyła to Mattowi, ten tylko się uśmiechnął.

- Nie wiedziałem, czy to pomoże - powiedział, kiedy szli razem z parkingu do przychodni. Abbie właśnie zaczynała dwugodzinny sobotni dyżur, a Matt wizyty domowe.

- Milczek z ciebie - droczyła się Abbie. - Nie zająknąłeś się słówkiem o wizycie u Arthura ani o tej historyjce o trującej roślinie.

- Nie wiedziałem, czy moja inwencja twórcza podziała - rzekł z uśmiechem. A potem, tuż przed drzwiami, nachylił się nad nią i szepnął: - Ale z tobą działała cuda.

We czwartek Abbie została wezwana przez Jaspera do domu. Gdy zaparkowała na podjeździe, wysiadła powoli, by mieć czas na zastanowienie. Przyszły wyniki elektromiografii - pomiar zaniku mięśni - oraz biopsja tkanki powiązana z badaniami krwi. Choroba neuronu ruchowego została potwierdzona.

Drzwi do domu Jaspera były jak zwykle otwarte.

- Jasper? - spytała, wchodząc. - Czy jest ktoś w domu?
Ze złymi przeczuciami obeszła pomieszczenia na parterze.

Był to stary, mroczny dom, pełen drewnianych, politurowanych mebli i indyjskich dywanów. Kiedy uderzył ją w nozdrza zapach kamfory, pobiegła na górę, skacząc po dwa stopnie naraz.

Tam, w jednej z dużych sypialni, znalazła Jaspera. Leżał w wiktoriańskim łożu, oczy miał zamknięte, wokół unosiły się opary kamfory. Nagle zaczął kaszleć.

- Jasper, co się stało? - zapytała, pomagając mu usiąść i układając poduszki pod jego plecami. Następnie podała mu szklanek wody z nocnego stolika. Napił się i opadł na poduszki.

- Miałem... kłopoty z od... dychaniem - wycharczał. - Zadzwoń mi po ciebie... zostawiłem otwarte drzwi.

Rozchyliła mu delikatnie górę od pizamy i przyłożyła słuchawki do piersi. Natychmiast rozpoznała ostrą infekcję dróg oddechowych.

- Jak długo to trwa? - spytała.

- Niedługo... będzie ze dwa dni. Wdychałem kamforę, żeby ułatwić sobie oddychanie. Zwykle pomagała.

- Jasper, dlaczego nie wezwałeś mnie wcześniej?

- Myślałem, że to tylko przeziębienie. W zeszłym tygodniu zmokłem na jednej wyprawie - odparł słabym głosem.

- Może i zaczęło się od przeziębienia, ale teraz wdał się stan zapalny. Chyba muszę cię zabrać do szpitala.

- Nie ma mowy, dzieciatko! - sprzeciwił się i znów zaniósł się kaszlem.

- Potrzebny ci jest respirator i leki na usunięcie przekrwienia - powiedziała cicho, gdy napad kaszlu minął.

Na szczęście w szpitalu znalazło się łóżko, a karetka przyjechała szybko. Abbie spakowała Jasperowi niezbędne rzeczy

i obiecała odwiedzić go wieczorem. Ale wciąż nie pokazała mu wyników badań, co nie dawało jej spokoju.

Po powrocie do przychodni zastała Matta w recepcji.

- Jakież kłopoty? - spytał, odciągając ją na bok.
- Przyszły wyniki badań Jaspera - wyjaśniła.
- I to rzeczywiście choroba neuronu ruchowego?
- Niestety. Właśnie skierowałam go do szpitala z zapaleniem oskrzeli. Leczył się sam kamforą. To jego niezawodny lek, którego używał od lat, ale teraz już mu nie pomógł.

Jeszcze kilka godzin, a nie miałby siły zwlec się z łóżka.

- Więc nie miałaś okazji powiedzieć mu o wynikach?
- Nie. To mnie jeszcze czeka.

Skinął bez słowa głową, a potem podniósł wzrok.

- Za chwilę wybieram się do Kayów. Sądziłem, że może zechcesz pojechać ze mną, więc umówiłem się w porze lunchu. Moglibyśmy zjeść w drodze powrotnej „Pod Białym Jeleniem”.

Podszedł do nich Frank i Abbie powiedziała mu o wynikach badań Jaspera.

- Zjrzę do niego wieczorem - obiecał Frank z westchnieniem. - Wybierasz się do niego, Abbie?

Skinęła głową.

- No to zobaczymy się u niego. Co u ciebie, Matt? - zwrócił się do młodszego kolegi. - Kiedy rusza twoja wspólna poradnia?

Abbie zostawiła ich pograżonych w rozmowie i wróciła do swego gabinetu. Uznała, że chętnie oderwie się od myśli o biednym Jasperze i znów zobaczy małą Monicę Kay, a potem odetchnie pół godziny przy lunchu z Mattem.

Jednakże wizyta u Kayów wcale nie przebiegła tak gładko. Monica była zdrową dziewczynką, miała tylko drobny

kłopot z gazami. Abbie rozmawiała z Sereną, kiedy Matt badał Monicę. Lecz kiedy Serena wyszła, by zrobić herbatę, Matt wskazał na prawą nóżkę dziecka.

- Spójrz, Monica skręca piętę do środka.
- Rzeczywiście - przyznała Abbie.
- Mnie to wygląda na drobne wrodzone zniekształcenie.
- W szpitalu nie zauważyli, ale taka drobna wada nie od razu jest widoczna. Sądzisz, że będzie potrzebna szyna ortopedyczna?

Matt się zastanowił.

- To mordęga. Może uda się jej uniknąć, jeżeli rozciągniemy ścięgno delikatnym masażem i ćwiczeniami.

- Serena się zdenerwuje - powiedziała Abbie.

- Zaproszę ją do przychodni - postanowił Matt, drapiąc się w brodę. - Ustalę rodzaj ćwiczeń, które będzie mogła wykonywać sama. W ten sposób poczuje, że może pomóc córeczce. - I uśmiechnął się do Sereny, która właśnie weszła z herbatą.

Ale Serena źle przyjęła tę wiadomość, toteż Matt i Abbie zabawili u niej nieco dłużej.

- Mam nadzieję, że zjawi się w przychodni - powiedział Matt już w „Białym Jeleniu”, suwając apatycznie kanapkę po talerzu. - Bo nie przejawiała większego entuzjazmu.

- Była zdenerwowana - przyznała Abbie.

Matt odsunął talerz, spojrział na zegarek i westchnął.

- Za kwadrans druga. Chętnie przesiedziałbym tu całe popołudnie, ale robota czeka.

Abbie dopiła wodę i wyszli. Po kilku krokach natknęli się niespodziewanie na Joely i Phila. Joely wyjaśniła, że wyrwali się na wspólny lunch przed powrotem Michele z przedszkola.

- Życzę smacznego! - powiedziała Abbie.

- Dziękuję - zawołała Joely radośnie.
- Matt uśmiechnął się, kiedy wsiadali do Citroëna.
- Chyba twoja siostra dosyć często spotyka się z Philem.
 - Pewnie oni to samo mówią teraz o nas.

Wieczorem, podczas wizyty w szpitalu, Abbie zjrzała do Dave'a Cartera. Zagrożenie minęło, mieli go więc nazajutrz przenieść z intensywnej terapii na zwykły oddział. Po chwili do jego łóżka podeszła młoda dziewczyna i usiadła cicho na krześle. Abbie domyśliła się, że to jego dziewczyna, choć nikt ich sobie nie przedstawił. Oznajmiła, że spieszy się do kolejnego pacjenta, i pożegnała ich oboje.

Dziewczyna tymczasem dogoniła ją na korytarzu. Przedstawiła się jako Marion Foster.

- Jestem dziewczyną Dave'a - potwierdziła. - Pani doktor, czy on z tego wyjdzie? Bo to chyba moja wina.

Abbie spojrzała na nią zdziwiona.

- Dave jest rozwiedziony i starszy ode mnie o jedenaście lat. Moi rodzice sprzeciwiają się temu związkowi. Mieliśmy z tego powodu straszne kłótnie. Rodzice nie chcą, żebyśmy się spotykali. Twierdzą, że robota instruktora sportowego to nie praca, tylko sposób na podrywanie dziewczyn. Chyba stąd się biorą jego napady lęku.

- Rozmawiała pani o tym z Dave'em? - spytała Abbie.

- Próbowałam, ale on tylko mówi, że powinniśmy przestać się widywać.

- Kiedy dojdzie do siebie - zaproponowała spontanicznie Abbie - proszę zjrzeć z nim do mnie to porozmawiamy.

A na razie niech się pani nie przejmuje.

- Dziękuję, pani doktor. Przekażę to Dave'owi.

Już po chwili Abbie siedziała obok Franka Morgana przy łóżku Jaspera. Podłączony do szpitalnego respiratora, oddy-

chał lżej. Gdy sam w końcu spytał o badania, Abbie niczego nie ukrywała.

- Tego się spodziewałem - powiedział Jasper z bladym uśmiechem. - O dziwo, lepiej znać gorzką prawdę.

- Możemy wiele pomóc - rzekł Frank krzepiąco.

- Ale ja na niewiele się zgodzę - odparł cierpko Jasper.

Abbie zauważyła, że jest zmęczony, toteż po chwili wyszła, zostawiwszy Franka, by przy nim czuwał.

Zmęczenie dopadło ją po powrocie do domu. Postanowiła wziąć kąpiel, ale telefon Joely wyrwał ją z ciepłej wody.

Otulona ręcznikiem usiadła na brzegu wanny, słuchając siostry. Michele dostała gorączki.

- Jak nie urok, to przemarsz wojsk - skomentowała Bonnie wieczorem na widok zatroskanej twarzy córki.

Siedziały razem w oranżerii, jedząc sałatkę z talerzyków trzymanyh na kolanach. Na rattanowym stoliku obok stała herbata, a słońce wpadało przez otwarte drzwi na patio.

- Powinam podjechać do Michele. - Abbie westchnęła.

- Często zapada na zapalenie migdałków. To może być początek.

- Kochanie, Joely mówiła tylko o gorączce. To pewnie zwykle przeziębienie - dodała Bonnie cicho. - Przecież widzę, że miałaś ciężki dzień.

Abbie opowiedziała matce o chorobie przyjaciela ojca.

- Biedny Jasper - westchnęła Bonnie. - Sam jak palec w takim wielkim domu. Wprawdzie odziedziczył go po rodzicach, ale skoro się nie ożenił, szkoda, że nie przyszło mu do głowy zamienić go na coś mniejszego. Jak on da sobie radę po wyjściu ze szpitala?

- Na pewno w którymś momencie będzie wymagał pomocy.

- A Jasper jest taki niezależny...

Przez chwilę siedziały w milczeniu, po czym Bonnie opowiedziała córce o swoim dniu.

- Don chwali sobie ten kurs dla przedsiębiorców tak jak ja - podsumowała. - Od lat ślęczał w biurze i niewiele miał kontaktu z ludźmi. To dla nas całkiem nowy świat.

- Cieszę się, że masz miłe towarzystwo na kursie - rzekła Abbie z uśmiechem.

- Don jest wdowcem - ciągnęła Bonnie, czerwieniąc się. - Po śmierci żony przed dwoma laty postanowił się czymś zająć.

Nic dziwnego, pomyślała Abbie, że matka kogoś poznała. Tyle że ona, jej córka, nie jest na to przygotowana. Pewnego dnia Matt wróci do Australii, a jej życie potoczy się jak dawniej...

- Coś cię gryzie, Abbie?

Córka spojrzała na matkę i potrząsnęła głową.

- Nie, tylko myślałam o tym, jak ładnie ostatnio wyglądasz.

- Och, Abbie! - westchnęła Bonnie, - Czasem można kogoś oszukać, ale nie rodzoną matkę. Chodzi o Matta, prawda? Bardzo się do niego przyzwyczaiłaś?

Abbie wiedziała, że nie ma co zaprzeczać.

- Owszem, to prawda.

- A on czuje to samo do ciebie?

- Jeżeli pytasz, czy coś może z tego wyniknąć, to odpowiedź brzmi „nie”. Matt jesienią wraca do Australii, o czym oboje wiedzieliśmy od początku, toteż się nie łudziliśmy.

Znów zapadło milczenie, po czym Bonnie zmieniła temat.

- W sobotę wybieram się z Donem do teatru - oznajmiła.

- Nie mam co włożyć. Może pomogłabyś mi coś wybrać w sobotę rano?

- Chętnie, mam - zgodziła się, wdzięczna, że matka taktownie zmieniała drażliwy temat wyjazdu Matta na przyjemniejszy.

Pierwszy dyżur Matta okazał się sukcesem. Pani Gillette, mijając Abbie w korytarzu, przystanąła, by go pochwalić.

- Doktor Carrig ma wspaniałe podejście do dzieci - mówiła. - Omawiając przewlekłe infekcje uszu Janine, doszliśmy do kilku możliwych przyczyn. Być może to od tego jej pływania. Pan doktor nauczył Janine techniki używanej przez pływaków olimpijskich. Cały sekret w równoważeniu ciśnienia na bębniuszki uszne. Naprawdę mi zaimponował.

Abbie zastanowiła się w duchu, czy płomienny entuzjazm pani Gillette wynika jedynie z podsunięcia przez Matta technik olimpijskich. Ale Janine też była wyraźnie zadowolona, bo wydeła policzki i przełknęła głośno ślinę, pragnąc gorliwie zademonstrować to ćwiczenie.

Zaraz po nich rzuciły się do Abbie pani Marsh i Katey. Katey była zbyt otyła jak na swoje dziewięć lat, ale Matt podobno zalecił tylko jakąś lekturę.

Po swoim dyżurze Abbie poszła do pokoju personelu. Matt nalał im obojgu kawy i usiadł obok niej w wygodnym fotelu.

- Ale mi sprawiłaś niespodziankę, że jeszcze tu jesteś - powiedział, krzyżując nogi i mieszając kawę.

- Bo jestem urzeczona - wyznała.

- Mam nadzieję, że mną. - Roześmiał się. - Czy to mój płyn po goleniu, czy fryzura?

Burza włosów, które znów odrosły i opadały mu na czoło, wyglądała nad wyraz interesująco.

- Ani jedno, ani drugie, chociaż nie mam tu żadnych zastrzeżeń. Raczej chodzi o pochwały z ust twoich pacjentów. Wszyscy są zachwyceni.

- Naprawdę? - Zrobił zdziwioną minę. - Miałem pełne ręce roboty. Wszyscy się zjawili. Nawet Serena i Monica. Ale nikt mi nic nie mówił.

- Zaleciłeś Katey Marsh lekturę? - spytała szczerze zdziwiona.

- A, tak. „Co Katey robi w kuchni”.

- Chyba nie znam - mruknęła Abbie.

- Trudno trzymać dzieci na diecie, ale można ich uczyć zdrowego odżywiania się. To świetnie napisana historyjka o dziewczynce, która wygrywa w szkole konkurs kulinarny. Babcia daje jej bardzo stary przepis, który robi furorę w klasie. W książce jest dużo humoru i świetnych przepisów na dania, które dzieci mogą pomagać przygotować swoim mamom.

- Nie mów mi, że czytujesz potajemnie takie książki - zażartowała.

- Nie, to lektura mojej siostry, kiedy miała nadwagę.

- Siostry? - Teraz Abbie zrobiła zdumioną minę. - Wiedziałam o bracie, ale nie wiedziałam, że masz też siostrę.

Przeciągnął wolno palcem po złotym brzeżku filiżanki.

- Miała na imię Frances, umarła w wieku piętnastu lat. Między innymi dlatego wyemigrowaliśmy. Tata sądził, że najlepiej będzie zacząć wszystko gdzie indziej.

- Och, Matt! Co za tragedia!

- Zmarła na zapalenie opon. W jej szkole była epidemia. Inne dziewczęta z tego wyszły, ale Fran nie miała szczęścia.

Abbie odezwała się dopiero po chwili:

- Na pewno Katey spodoba się ta książka. Nadal można ją kupić?

- Nie wiem - odparł - ale mam własny egzemplarz. Trafiłem na nią w londyńskiej księgarni. Zawiera świetne przesłanie dla dzieci. Chętnie jej go pożyczę do czasu wyjazdu.

Wzmianka o powrocie do Australii uzmysłowiła Abbie, jak krucho jest jej szczęście z Mattem. Co prawda wiedziała o tym od początku, ale w ten piękny majowy wieczór, gdy nad głowami migotały im blade gwiazdy, a horyzont mienił się różowozłotą luną, mogła udawać, że szczęście będzie trwało wiecznie.

W sobotę Abbie wybrała się z matką do centrum i pomogła jej wybrać kostium na wieczór. Zjadły razem lekki lunch, a potem matka poszła do fryzjera, a Abbie pojechała odebrać Michele z lekcji tańca. Po powrocie do domu okazało się, że małą rozboleło gardło. Nie chcąc zapisywać jej przedwcześnie antybiotyków, Abbie poradziła Joely, by zatrzymała córkę w łóżku.

- Wiesz, że mama ma dziś randkę? - spytała Joely.
- Aha. Powiedziała ci?
- Kiedy zadzwoniłam do niej w sprawie Michele - odrzekła Joely, po czym wstała, by dolać kawy. I dodała: - Najwyższy czas, żeby zaczęła się cieszyć życiem. Mam nadzieję, że im wyjdzie.
- Ja też.

Kiedy Abbie dotarła do domu, zastała matkę ubraną w nowy czarny kostium i kremową bluzkę. Bonnie kupiła też sobie nowe perfumy, których zapach wypełnił cały pokój. W nowej fryzurze wyglądała sporo młodziej.

- Denerwuję się - przyznała, czekając w korytarzu na przyjazd Dona. - Dobrze wyglądam w tym kostiumie? Nie jestem za bardzo wystrojona?
- Wyglądasz świetnie - pochwaliła Abbie. - Na pewno oczarujesz Dona.
- Dziękuję ci, córeńko. Chciałabym, żebyś i ty...

Rozległ się klakson, toteż Bonnie urwała w pół zdania, cmoknęła córkę w policzek i wybiegła. Abbie przyjęła to z ulgą. Matka na pewno miała dobre chęci, ale wałkowanie wciąż tego samego nie przyniesie niczego poza strachem. Odprowadziła wzrokiem odjeżdżający samochód i zamknęła drzwi, zastanawiając się, czy brać się do gotowania, czy przekąsić coś tylko na zimno. Wieczorem miała wizytę, toteż uznała, że woli kanapkę. Ledwo zdążyła ją zjeść, odezwał się pager.

Wezwano ją do czternastoletniego pacjenta z astmą. Zastosowawszy inhalator, ułatwiający chłopcu oddychanie, wróciła do domu, a o dziesiątej znów jechała do niemowlęcia. Na szczęście okazało się, że to tylko problem z zębowaniem.

Tuż po północy wróciła do domu i zastała matkę na ganku. Samochód zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy zamrugał światłami. Bonnie pomachała.

- To był Don - wyjaśniła, gdy Abbie wkładała klucz do zamka.

- Dobrze się bawiłaś? - spytała Abbie rozpromienioną matkę.

- Wspaniale! - zawołała Bonnie z entuzjazmem. Była na komedii pomyłek w znakomitej obsadzie. - Od lat tak się nie śmiałam. - Zerknęła do lustra w przedpokoju, poklepała się po rozplamionych policzkach. - Boże, jak ja wyglądam!

- Przepięknie, mamo - zapewniła ją Abbie. - I na pewno Don też tak uważał.

- Owszem, nawet mi to powiedział. Chciałam was sobie przedstawić, ale zrobiło się późno...

- Trzeba go było zaprosić na kawę.

Abbie zdjęła jej płaszcz i powiesiła na wieszaku.

- Następnym razem zaproszę. - Matka była wyraźnie

podniecona. - Jadąc do teatru zajrzeliśmy do Michele i zastaliśmy tam Phila.

- Nic dziwnego. Phil i Joely ostatnio często się widują.
- To bardzo miły chłopak - skomentowała Bonnie. -

I doskonale się dogaduje z Michele.

Unikając dziwnego spojrzenia matki, Abbie spytała:

- Więc przedstawiłaś jej Dona?

Obie się roześmiały, bo Bonnie stanęła w pąsach.

- Och, córeńko, mam nadzieję, że tobie też się spodoba.

Abbie objęła matkę.

- Na pewno, mamo. A teraz idźmy już spać.

Ale zamiast położyć się do łóżka, Abbie usiadła na parapecie w swoim pokoju i wyglądała na ogród. Księżyc w pełni oświetlił rząd strzelistych choinek, które przed laty zasadził jej ojciec wspólnie z Seanem.

Jak życie zmieniło się po ich śmierci! Dotychczas nie dopuszczała myśli o tym, by miała się ponownie zakochać, pewna, że Sean był jedyną miłością jej życia. Teraz, się to zmieniło.

Wprawdzie Sean przez tyle lat był jej przyjacielem i partnerem, ale ich życie pozostało niespełnione bez dzieci. Związek z Mattem pozwolił jej zrozumieć, że tłumiała najskrytsze uczucia, wiedząc, że Seanowi odpowiada jego życie i kariera.

Westchnęła i odeszła od okna. Nastawiła budzik. Nawet gdyby nie miała już tej nocy wezwań, i tak nie liczyła na dobry sen. Zbyt dużo się w ciągu dnia zdarzyło. Jedynym lekarstwem mógłby być Matt. Ale, niestety, nie było go przy jej boku.

Wybrała na wypad z Mattem ostatni tydzień maja. Jill Nials załatwiła z Bobem Wesleyem z Hobcraig przejęcie jej dyżurów, a ku zaskoczeniu Abbie w ostatniej chwili nie wy-

nikły żadne problemy, które mogłyby przeszkodzić w wyjeździe. Matt skończył dyżur odrobinę wcześniej niż zwykle, co pozwoliło im wyjść z przychodni o piątej. Ruszyli w stronę Keswick, gdzie Matt zarezerwował wcześniej pokój w hotelu nad jeziorem.

Kiedy zostawili za sobą Rendale, przed nimi wiała się lśniąca wstęga drogi, oświetlona złocistym blaskiem zachodzącego słońca. Po obu stronach szosy upalna mgiełka spowijała doliny i góry. Nisko wisząca chmura przesłaniała niektóre szczyty, a hen wysoko; ze szczeliny w kłębiących się oparach, przebijał jedynie błysk białego śniegu.

- Gdzie chciałabyś zjeść? - zapytał Matt, spoglądając na zegarek. - Może zdążymy jeszcze do restauracji hotelowej przed zamknięciem. Albo wstąpmy gdzie indziej.

- W Gowbarrow Feli jest taka mała knajpka - odparła Abbie z zadumą. - Nie byłam tam od lat, ale kiedyś podawano w niej pyszne miejscowe potrawy.

- No to jedźmy - rzekł Matt z ujmującym uśmiechem.

- Czuję się, jakbym była na wagarach - powiedziała Abbie. - Ale cudownie jest się wyrwać.

- Tylko nie rozmawiajmy o pracy - poprosił stanowczo Matt.

- Zgoda. - Po chwili milczenia Abbie uniosła brwi. - Mogłabym cię tylko spytać o tę książkę o Katey?

Matt odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- No, nasza umowa nie trwała zbyt długo.

- Przyrzekam, tylko jedno pytanie - poprosiła.

- Dobrze - zgodził się. - No więc pani Marsh czyta z Katey tę książkę. Może z czasem zasieje jakieś ziarno myśli w jej nieskalanej jeszcze rozumowaniem główce.

- Czyli jedna pacjentka zadowolona - stwierdziła odrobinę złośliwie Abbie.

- Sprawianie przyjemności to nasza specjalność. - Matt spojrzał na nią z błyskiem oczu. - Mam już na oku następną pacjentkę.

- Kogo? - spytała z miną niewiniątka.

- O, to tajemnica - mruknął zagadkowo i znów spojrzał na drogę. - Musisz pilotować mnie do Gowbarrow Feli, bo zabłądzimy i będziemy musieli spać w samochodzie na poboczu.

Najchętniej powiedziałaaby mu, że w jego obecności nie ma dla niej znaczenia, dokąd jedzie i gdzie śpi, bo czuje się szczęśliwa. Milczała jednak, bo nie chciała zapeszyć. Nie mogła uwierzyć, że wieczorem będzie spała w ramionach Matta i że przez dwa beztrioskie poranki będzie się budziła u jego boku.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W Gowbarrow Feli zjedli wyborny krem z marchwi z kminkiem, miejscowy kulebiak i sernik polany świeżą wiejską śmietaną. Siedzieli w przytulnym zakątku przy blasku świec. Późnym wieczorem przyjechali do Keswick. Portier w nadbrzeżnym hotelu zaprowadził ich do pokoju. Abbie aż krzyknęła na widok feerii kolorowych świateł na drugim brzegu jeziora, odbijających się w jego atramentowej tafli.

Matt objął ją w pasie i zaczął jej szeptać do ucha:

- Czy ty rozumiesz, że jesteśmy całkiem sami? Nikt nam nie zakłóci spokoju.

- Ależ tu jest pięknie, Matt - zachwyciła się, kładąc mu głowę na ramieniu. - Skąd wiedziałeś, który zarezerwować pokój?

- Zapomniałeś, że mam zdolności telepatyczne? - Przytulił się do niej policzkiem. - Wiedziałem, że to musi być najbardziej romantyczny pokój w całym hotelu.

- Przestań. Ja mówię poważnie.

- Ja też. - Odwrócił ją powoli do siebie, a ona zobaczyła w głębi pokoju niskie łóżko z białym baldachimem, zasłane kremową jedwabną kołdrą. Na okrągłym szklanym stoliku stał wielki bukiet kwiatów, obok srebrny kubek z lodem, a z niego wystawała-smukła zielona szyjka butelki od szampana.

Abbie nie wierzyła własnym oczom.

- Och, Matt, co ty wyprawiasz?
- Nie sądzisz, że nam się należy?
- Rozpieszczasz mnie.
- Bo na to zasługujesz - szepnął i spojrzął w jej oczy. -

A teraz otworzysz szampana czy ja mam to zrobić?

Pytanie okazało się przedwczesne. Ulegli namiętności i natychmiast się kochali, a rozpakowywanie i szampana zostawili na później. A potem aż do świtu popijali musujący trunek...

Obudził ją nieznany hałas znad jeziora, furkot dzikiego plectwa. Odwróciła się i spojrzała na Matta śpiącego obok. Długie rzęsy rzucały cień na jego policzki, twarz miał odprężoną. Przez chwilę pomyślała, że bardzo młodo wygląda. Ale różnica wieku między nimi jakoś jej dotąd nie przeszkadzała, dlaczego więc teraz miałyby się nią przejmować? Otworzył oczy, jak gdyby czytał przez sen w jej myślach.

- Ale miło - szepnął zaspianym głosem, przyciągając ją do siebie. - Mam nadzieję, że nie planujesz wstawania.

- Obudziło mnie światło - szepnęła, czując jego usta na swoich.

- Tak lepiej. - Odgarnął jej włosy z twarzy i spojrzął w oczy. - A teraz chodź, muszę się z tobą porządnie przywitać.

O dziewiątej mgielka zaciągnęła jezioro, pokrywając roziskrzoną powierzchnię niczym czarodziejski dywan. Z parkingu dobiegały odgłosy porannej krzątania, a Abbie, już w szortach i koszulce, zobaczyła młodą parę, która pakowała buty wspinaczkowe i plecaki do bagażnika samochodu kempingowego.

- Ranne ptaszki? - Matt objął ją w pasie tak jak poprzedniego wieczoru.

- Chyba przyjechali o tej samej porze co my - szepnęła, przypomniawszy sobie tę dziewczynę z recepcji. - Byli tacy zapatrzeni w siebie. Sądziś, że wyjeżdżają?

- Pewno szukają jakiegoś ustronnego miejsca- rzekł filuternie Matt. Wziął ją za rękę i odwrócił do siebie. - A teraz skupmy się na nas. Co robimy najpierw?

- Już jest mgielka. Zanosi się na upał.

- Może wybierzmy się raczej na jezioro, a nie w góry.

- Ty zdecyduj. - Roześmiała się, szczęśliwa ponad miarę.

- Możemy robić tyle rzeczy, że nie wiem, co wybrać.

- No to spacerujemy się nad jeziorem, a po lunchu wybierzmy się na żagle. Albo popłynemy łódką na tamtą wyspę. Chyba aż czeka, żeby ktoś ją odkrył.

Abbie zarzuciła mu rękę na szyję.

- Wedle życzenia, panie doktorze - szepnęła. - Oddaję się całkowicie w pańskie ręce.

- I z nich to nie zamierzam cię wypuszczać przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny...

W końcu zostawili samochód w hotelu i wybrali się do Keswick. Po drodze minęli młodą parę widzianą wcześniej. Młodzi jechali samochodem kempingowym w przeciwną stronę. Abbie uśmiechnęła się do dziewczyny, Matt skinął głową kierowcy. Tamci zamrugarli im światłami.

Niedługo potem skręcili w wąską dróżkę prowadzącą nad brzeg i ruszyli drogą dokoła jeziora. W końcu trafili na przystań. Wypożyczyli łódź wiosłową, którą Matt dopłynął na małą wysepkę widoczną z okna ich pokoju.

- Słyszałam o porwaniach na wyspy - rzekła Abbie ze śmiechem, gdy już wygramolili się na trawiasty brzeg - ale to śmieszne.

- Wcale nie - zaproponował, prowadząc ją do cieniściego zagajnika. - Bo teraz mam cię naprawdę tylko dla siebie.

- I gdybym krzyczała, to nikt by mnie nie usłyszał? - droczyła się z nim, kiedy rozkładał koc na mchu.

- A chcesz krzyczeć? - Położył się i przywołał ją gestem.

- Czy wolisz się położyć i zdać na mnie?

Osunęła się na koc z nadzieją, że nikt nie postanowił rozpocząć tego dnia od wyprawy na wyspę. A gdyby nawet, to szybko by się zorientował, że para kochanków już zawłaszczyła sobie tę oazę.

Wieczór był parny i zachmurzony. Kolację zjedli w hotelu, później słuchali kwartetu jazzowego grającego w koktajl-barze. Potem poszli na spacer nad jezioro i całowali się pod rozgwieżdżonym niebem, słuchając fal chlupiących im cicho u stóp.

- Szczęśliwa? - zapytał szeptem Matt.

Skinęła głową.

-A ty?

- Brak mi słów - wyznał, burząc palcami jej włosy. - Ale nie brak energii.

Jakby na dowód swych słów porwał ją w ramiona i pocałował. Abbie przyłgnęła do niego i krzyknęła.

Nazajutrz pogoda się zepsuła. Deszcz zaczął padać jeszcze przed śniadaniem. Abbie, w dżinsach i sportowej bluzie, wyjrzała przez okno. Na niebie wisiały niskie sine chmury i chociaż jeszcze było ciepło, zanosilo się na zmianę pogody.

Mimo to po śniadaniu postanowili wybrać się na niezbyt trudny szlak łagodnym zboczem do Skiddrigg Hause. Wkrótce jednak się rozpadało, a w pół drogi złapała ich ulewa.

- Schowajmy się! - krzyknął Matt.

Ruszyli pędem pod gęste drzewa, wciągając okrycia na mokre dżinsy i koszulki.

- Chyba trzeba schodzić - dodał, pomagając Abbie włożyć plecak. - To się zanosi na dłużej.

Przymierzyli się do zejścia. Ulewa zamieniła ich dróżkę w istną zjeżdżalnię pokrytą błotem i liśćmi. W połowie drogi - na dół znów musieli szukać schronienia. Kiedy wreszcie odważyli się kontynuować schodzenie, błyskawica rozdarła niebo. Rozszalała się ulewa.

Przemoknięci do cna, zmordowani, dotarli do hotelu, gdzie w recepcji ujrzeni dwóch policjantów. Rozmawiali z kierownikiem i innymi gośćmi.

- Jakież kłopoty? - spytał Matt.

- Zaginęli nasi znajomi - poinformował ich młody człowiek w stroju wspinaczkowym. - Anita i James Harvill. Zarezerwowali tu pokój na piątkową noc. Przyjechali biało-niebieskim samochodem kempingowym.

- Widzieliśmy ich - oznajmił Matt. - Minęli nas na szosie wyjazdowej z Keswick.

- Wczoraj wieczorem zostawiliśmy ich w namiocie u podnóża Mickelsdale Feli - powiedział młody człowiek. - To miał być taki kawał. Bo mówili, że chcą spać pod gwiazdami.

- I rano znaleźliście ten namiot? - spytał policjant.

- Nie. Uznaliśmy, że pewno ruszyli w góry.

- Jakież to nieroztropne przy takiej pogodzie - zauważył kierownik hotelu. - Czy oni tego nie wiedzą?

- Nie znają gór - powiedział znajomy Harvillow. - To miał być właściwie cel naszego wspólnego weekendu. Pewno uznali, że zmieniliśmy zamiary z powodu burzy, i postanowili pójść sami.

- Czy szukają ich? - spytał Matt z niepokojem.

Policjant skinął głową.

- Będą ich szukać aż do zapadnięcia zmroku. Okolicę przeczesuje też helikopter.

- Czy moglibyśmy jakoś pomóc? - spytała Abbie. -
Oboje jesteśmy lekarzami.

Po półgodzinie Abbie i Matt, już w suchych ubraniach, schodzili urwistym zboczem Mickelsdale Feli z czterema członkami ekipy ratowniczej. Teren był gęsto zalesiony i chociaż zawodowcy znali drogę, podmokły grant opóźniał ich wspinaczkę.

O siódmej zaczęło się ściemniać. Sześciu członków ekipy kontaktowało się przez radio z inną grupą i z helikopterem, ale o ósmej Abbie uznała, że kiepsko to wygląda.

Już niemal tracili nadzieję, kiedy Abbie dostrzegła jasną szmatę powiewającą na wietrze.

Była to żółta pomięta wiatrówka z kapturem. Kilka metrów dalej znaleźli pusty baniak po wodzie, na wpół zagrzebany w błocie i liściach. Wznowili poszukiwania wspomagani przez potężny snop światła z reflektora helikoptera.

- Tam! - zawołał szef ekipy, Greg, i poświecił latarką na ziemię. - To chyba plecak.

- I tam! - zawtórował mu Matt.

Abbie skoczyła w kierunku chybotliwego promienia światła. W kępie drzew stał mały zielony namiot. Wiatr i deszcz zrobiły swoje - brezent pośrodku obwisł, linki były pozrywane.

Greg dobiegł pierwszy i rozsunął klapy wejściowe. Matt i Abbie zajrzeli do środka.

- Chwała Bogu, że nas znaleźliście. Anita jest ranna - rzekł młody człowiek klęczący przy żonie na ziemi.

Matt podczołgał się do młodej kobiety, która leżała na wznak i pojękiwała cicho.

- Co się stało? - spytał, a jednocześnie zaczął sprawdzać drożność dróg oddechowych i krążenie.

- Spadła do wąwozu - wyjaśnił słabym głosem James Harvill. - Uderzyła się w głowę i straciła przytomność. Uda-

ło mi sięją dowlec tutaj. Trwało to wieki, bo ja też się... -
I aż wykrzywił twarz z bólu, próbując wyprostować rękę.
Abbie wsunęła się do środka namiotu.

- Czy to było dawno? - spytała, podtrzymując mu rękę.

- Chyba dzisiaj. Straciłem rachubę czasu. Podczas burzy
Anita pośliznęła się, ja próbowałem ją złapać, ale ziemia
uciekła mi dosłownie spod nóg. Ramię jakby mi się zabloko-
wało.

- To mi wygląda na zwichnięcie - orzekła Abbie, po-
magając młodemu człowiekowi zdjąć kurtkę. - Na razie
nie wyczuwam skurczu mięśni, chyba więc da się bez tru-
du nastawić. Ale musimy znaleźć wystarczająco płaskie
miejsce.

- Choćby na skałach - podsunął Greg, bo czekając pod
namiotem, usłyszał tę rozmowę. - Znajdą się i płaskie.

Abbie wycofała się z namiotu, zostawiając Matta, który
zajmował się Anitą, i patrzyła, jak dwaj ratownicy oświetlają
latarkami skały. Ranny mężczyzna wyczołgał się powoli z
namiotu.

- Spróbuje pani, pani doktor? - spytał słabym głosem.
- Bo w tym stanie jestem do niczego.

Z pomocą innych mężczyzn Abbie pomogła Jamesowi
wejść na skały. Wybrała najbardziej płaską powierzchnię
i pokazała mu, jak ma się położyć.

- Przytrzymam panu rękę, a pan niech się położy na brzu-
chu - poprosiła. - Postaram się to zrobić jak najdelikatniej.

Mężczyzna, mimo że bardzo cierpiał, wykonywał jej po-
lecenia, Nie sprzyjał im też zacinający deszcz i wiatr, to-
też Abbie zawahała się, gdy pacjent wydał dramatyczny jęk.
Ale przy drugiej próbie udało jej się skutecznie nastawić
ramię.

- Auu! - zawył, kiedy nastąpił kluczowy moment.

- Jeszcze może boleć - uprzedziła go Abbie, gdy złapał

oddech. - Ale najgorsze za panem. I jak teraz?

- Serdecznie dziękuję, pani doktor. Muszę wracać do Anity. Na pewno nic jej nie będzie?

- Proszę na razie zostać tutaj - poleciła Abbie. - Dowiem się o stan żony.

Zostawiła go pod opieką jednego z ratowników i wróciła do namiotu, w którym znalazła Matta opatrującego głowę Anity.

- Rana jest dość głęboka. Wymaga szycia - wyjaśnił.

- Boję się też, czy nie ma wstrząśnienia mózgu albo udaru. Poza tym jest mocno wychłodzona. Trzeba ją jak najprędzej odstawić do szpitala. A jak jej mąż?

- Ramię na szczęście dało się nastawić. - Uśmiechnęła się, kiedy pogratulował jej skinieniem głowy. - Tylko bardzo się martwi o żonę.

- I jak tam, panie doktorze? - Greg wczuł się za nimi.

- Jeżeli można ją przenieść, spróbujemy znaleźć lądowisko dla helikoptera.

Matt skinał głową. Opatulili młodą kobietę w koc termiczny i wynieśli przywiązaną bezpiecznie na noszach. Po chwili helikopter wylądował miękko, aż szurnęły na bok mokre liście.

Abbie i Matt polecieli z pacjentami. Pilot skarżył się na cichnącą już burzę, ale wylądował bez przeszkód na terenie szpitala.

- Obiecywaliśmy sobie nie rozmawiać podczas weekendu o pracy? - powiedział Matt z uśmiechem, kiedy już zostawili pacjentów na ostrym dyżurze w szpitalu.

- Widocznie kusiliśmy los.

Abbie, znów przemoczona do suchej nitki, zaczęła dygotać. Matt przyciągnął ją do siebie.

- Chodźmy stąd. Napijemy się gorącej herbaty, coś zjemy, a potem spróbujemy wrócić okazją do hotelu.

- Ja was odwiozę - zaoferował się Greg, który podszedł do nich przy automacie z napojami. - Albo zapraszam do siebie na jajka na bekonie.

- Jutro wyjeżdżamy dość wcześnie - wymówił się uprzejmie Matt. - Powinniśmy choć na kilka godzin przyłożyć głowy do poduszki. Ale serdecznie dziękujemy. Jeszcze tylko ostatni raz sprawdzę, co u Harvillów.

- No to podrzucę was do hotelu - zaproponował Greg, wyrzucając plastikowy kubek do kosza.

Zmagając się z wiatrem i deszczem, dotarli wreszcie do pogrążonego we śnie hotelu. Greg podziękował im i obiecał skontaktować się z nimi za kilka dni, by przekazać informacje o stanie zdrowia Harvillów. Ich zaś przy wejściu przywitał sympatyczny nocny portier, który obiecał przynieść coś do jedzenia.

Abbie jednak więcej go nie zobaczyła. Nazajutrz rano zorientowała się, że padła w szlafroku na łóżko i zasnęła, zanim dostarczono kolację!

Kilka dni później usłyszała, że musiała rozejść się plotka o ich wspólnym wyjeździe, bo przyjazd Grega we wtorek rano wywołał ożywienie wśród personelu.

Stephanie, Rachel i Jill karmiły Grega ciastkami z cukierkami, czekając, aż Abbie i Matt skończą przyjmować pacjentów. Nawet Frank Morgan dowiedział się o ich przygodzie.

Na szczęście Anita Harvill doszła do siebie, James również, a przełożeni Grega wystosowali oficjalny list z podziękowaniem.

- Chciałabyś to kiedyś powtórzyć? - spytał Matt wieczorem, kiedy jedli omlet z sałatką w jego kuchni.

- Chętnie. - Roześmiała się. - Ale może już bez wypadku w Mickelsdale.

- Bardzo masz mi to za złe? - spytał cicho.
- Co? - zdziwiła się.
- No bo planowałem cudowny weekend z dala od świata, a przez większość czasu taplaliśmy się w błocie podczas burzy.

Abbie spojrzała na swoje dłonie skryte w silnych, opalonych rękach Matta, które zupełnie nie przypominały rąk Seana. Sean miał smukłe dłonie artysty, upstrzone piegami, pokryte jasnym puchem.

Matt wstał i przyciągnął ją do siebie.

- Wiem, że mam dyżur, ale chyba możemy zaryzykować pójście do łóżka na kilka godzin?

- Kiedy tylko wstąpimy na schody, odezwie się telefon.

- Mimo to bym zaryzykował.

Pocałował delikatnie jej szyję, a ona przymknęła oczy, zatracając się na chwilę w fali przyjemności, która ogarnęła jej ciało. Czy to podczas burzy w Skiddrigg pojęła, ile ten mężczyzna dla niej znaczy?

Wyzwolila się z jego uścisku i zanosła naczynia do zlewu. Kiedy puściła ciepłą wodę i naala płyn, Matt stanął za nią, położył jej ręce na ramionach i powiedział tak ciepło, że omal jej serce nie pękło:

- Abbie, nie odpychaj mnie.

- Wcale nie odpycham - odrzekła, nie podnosząc wzroku.

Odrócił ją z wolna do siebie i spytał:

- Abbie, o co chodzi? - W tej właśnie chwili zabrzączał pager w kieszeni jego koszuli, a on wznosił oczy do nieba.

- Niezłe wycucie czasu - jęknął. - Muszę jechać.

Uśmiechnęła się i rzuciła jakby od niechcenia:

- Ocalił pana pager, doktorze Carrig.

- Czyżbym przekroczył jakąś granicę? - spytał domyślnie.

Unikając jego bystrego wzroku, odwróciła się znów do zlewu.

- Pozwól, że zmyję, a potem wrócę do siebie.
- A kiedy cię znów zobaczę?
- Masz dyżur w ten weekend?
- Dopiero w niedzielę wieczór.

Pokiwała tylko głową, bo coś dławilo ją w gardle, a on pocałował ją w policzek i szepnął, że będzie tęsknił.

W piątek po południu Jackie Dunn, pielęgniarka okręgowa, usiadła przy biurku Abbie i położyła na nim grafik dyżurów u Jaspera Macdonalda.

- Proszę bardzo - powiedziała, wzdychając. - Ale nie wiem, jak długo pan Macdonald nam na to pozwoli.

Abbie przejrzała notatki, przeczytała uwagi inspektora zdrowia i pracownicy społecznej, wreszcie uwagi Jackie, która w wieku przedemerytalnym sama dochowała się czterech synów. Były to chłopcy na schwał, umiała więc sobie radzić z upartymi facetami. Mimo to ostatnie tygodnie z Jasperem nie były łatwe.

- W końcu go przekonaaliśmy, żeby się zgodził na pomoc, ale ten stary uparciuch twierdzi, że nie chce moich odwiedzin. Mówi, że kiedy będzie czegoś potrzebował, to sam przyjdzie do przychodni.

- Tak mówił zeszłym razem. - Abbie skrzywiła się.
- Jest uparty jak osioł.
- Głuchy na wszystko osioł.

Roześmiały się. Jackie wstała i schowała notatki do torby.

- Będę tam chodziła, dopóki będzie mnie wpuszczać. Na razie po prostu walę w drzwi i w końcu on otwiera. W tym starym domu przydałby się dobry dzwonek. Oszczędziłby mi sporo zachodu. Czasem muszę obchodzić dom i stukać do okna.

- Jasper pewno się łudzi, że się znudzisz i odejdiesz.

- Niedoczekanie! - zaperzyła się Jackie. - Odwiedziłam też wczoraj pana Haskinsa - dodała. - Tego twojego siedemdziesięciodwuletniego emeryta z wieńcówką. Czuje się znacznie lepiej i nadal nie pali.

- Pewno postanowił przeżyć jeszcze trzydzieści finałów.

- Co takiego? - spytała zdumiona Jackie.

- Później ci wytłumaczę - odparła Abbie. - I daj mi znać, jak ci poszło z Jasperem.

Abbie wciąż myślała o Arthurze Haskinsie, kiedy weszła kolejna pacjentka.

- Dzień dobry - powiedziała. - Nie wiem, czy mnie pani pamięta...?

Abbie skinęła głową.

- Oczywiście, Marion. Siadaj.

Dziewczyna Dave'a Cartera usiadła i uśmiechnęła się nerwowo.

- Nie wiedziałam, czy mnie pani pozna. Wtedy w szpitalu była pani dla mnie bardzo miła.

- Jak tam Dave? - spytała Abbie.

Marion Foster zawahała się.

- Właśnie z tym przychodzę. Wypisują go w przyszłym tygodniu i... - Zaczerwieniła się, a potem rozplakała.

- Co się stało? - spytała z niepokojem Abbie.

Marion wytarła nos w chusteczkę, którą podała jej Abbie.

- No więc w czym problem? - ponowiła pytanie Abbie, kiedy Marion ocierała łzy.

- Jestem w ciąży... - Marion podniosła oczy. Usta jej drżały.

- Jest pani pewna?

Dziewczyna pokiwała głową.

- Przez cały czas, odkąd jestem z Dave'em, brałam pi-

gułkę. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Może wtedy, kiedy przechodziłam gripę.

- Nie miała pani ostatnio miesiączki?

Marion wpatrywała się w swoje kolana.

- Tak. Nawet dwóch. Zanim zaczęłam brać pigułkę, zawsze miałam nieregularne okresy i z początku się nie przejęłam. Ale potem zaczęły się poranne mdłości. Ostatnio miałam okres jakieś trzy miesiące temu, no więc zrobiłam sobie test i wypadł pozytywnie.

Abbie uniosła brwi.

- Jest pani u nas zarejestrowana?

- Nie, mieszkam w Hobcraig. Naszym lekarzem jest doktor Wesley. Ale chciałabym teraz chodzić do pani, bo pani wie, co się dzieje między Dave'em a mną. Jonathana też chciałabym przepisać.

- Kto to jest Jonathan? - spytała Abbie całkiem zbita z tropu.

- To mój syn. Ma dopiero trzy latka - dodała, przelykając ślinę. - Ale Dave nie jest jego ojcem.

Wszystko zaczyna się układać w jakąś całość, pomyślała Abbie, przypomniawszy sobie, co Marion mówiła o swoim domu i nadopiekuńczych rodzicach.

- Urodziłam Jonathana, kiedy miałam szesnaście lat - ciągnęła Marion. - Jego ojciec nigdy nie przyznał się do ojcostwa. Sam miał zaledwie szesnaście lat. Dlatego moi rodzice przeprowadzili się tu znad granicy, żeby zacząć w Hobcraig nowe życie.

Abbie odczekała, aż dziewczyna znów wytrze nos.

- Dobrze. Jeśli chcesz, przyjmę ciebie i Jonathana jako pacjentów.

- Tak, zdecydowanie. - Marion pokiwała skwapliwie głową. - Doktor Wesley i tak nas właściwie nie zna.

- W takim razie przygotuję papiery. A tymczasem rozbierz się i połóż na kozetce.

Abbie wyszła do recepcji po odpowiednie formularze.

- Omówiłaś sytuację z Dave'em? - spytała, rozpoczynając badanie.

- Nie, bo leży przecież w szpitalu. Powiedziałam mamie, a ona powiedziała ojcu. I ojciec wpadł w szal. Po Jonathanie nawet mu się nie dziwię.

- Nie sądzisz, że powinnaś była najpierw powiedzieć Dave'owi? - spytała Abbie.

- Może. Ale stało się.

- Wszystko wskazuje na to, że masz rację- rzekła w końcu Abbie, kończąc badanie. - Możesz wstać.

- Czyli jestem w ciąży?

- Owszem, chociaż muszę to jeszcze potwierdzić. Najprawdopodobniej jesteś w trzecim miesiącu.

Dziewczyna stała w milczeniu, zagryzając wargi.

- A już sądziłam, że wszystko będzie dobrze. Nawet dostałam dobrą pracę w domu opieki.

- Co tam robisz? - spytała Abbie.

- Jestem pomocnicą pielęgniarki. Lubię starszych ludzi, ale pewno będę musiała ją rzucić...

- W każdym razie nie możesz dźwigać nic ciężkiego - uprzedziła Abbie. - Odtąd tylko lekkie prace.

W kącikach oczu zebrały się Marion łzy i znów zaczęła cicho płakać.

W następnym tygodniu Abbie zajrzała do gardła Michele i rozpoznała zapalenie migdałów.

- Jak często to się będzie powtarzało? - spytała Joely, zastępując lody, których Michele nie chciała jeść, szklanką zimnej wody mineralnej. - Nie można by jej usunąć migdałków?

Siedziały na brzegu łóżka Michele i Abbie wpatrywała się w powiększone węzły chłonne na szyi siostrzenicy.

- Jeszcze wahamy się z usunięciem - wyjaśniła. - Tworzą część układu limfatycznego organizmu. Migdałki są istotne dla naszego systemu odpornościowego.

- Ale ja musiałam je usunąć - przypomniała siostra. - A przedtem często miewałam bóle gardła. Sądzisz, że Michele czekają podobne kłopoty?

Abbie spojrzała na rozpaloną twarzyczkę siostrzenicy i podciągnęła jej kołdrę pod brodę.

- Niekoniecznie. - Uśmiechnęła się do Michele. - Dam ci coś na ból gardła, kochanie, ale nie wychodź z ciepłego łóżeczka.

Michele zdobyła się na uśmiech.

- Mama obiecała, że jak poczuje się lepiej, to będę mogła obejrzeć „Niebieskiego Piotrusia”.

- Dobrze, ale najpierw się zdrzemnij - poprosiła małą i razem z siostrą poszły do kuchni. - Nie lubię leczyć antybiotykami, ale chyba nie mamy wyboru - dodała już przy kawie.

Joely pokiwała głową i schowała receptę do torebki.

- Później ma tu wpaść mama. Wtedy wyskoczę do apteki.

- Ja też zajrzę po dyżurze, ale to będzie późno - zapowiedziała Abbie. - Na pewno musisz wyjść po zakupy.

- Nie, Phil przyniesie, co trzeba. Przychodzi dzisiaj na kolację. - Joely uśmiechnęła się do siostry. - Nie martw się, Abbie. Phil to wspaniały facet, ale nie popełnię już takiego głupstwa jak z ojcem Michele.

Abbie przypomniała sobie ze współczuciem straszne chwile w życiu Joely, gdy ta odkryła, że jest w ciąży, a chłopak się ulotnił. To był dramat dla Joely, lecz jeszcze bardziej dla Michele, która miała nigdy nie poznać rodzzonego ojca.

Mała dawała im tyle radości, że trudno byłoby sobie wyobrazić życie bez niej. Teraz Abbie mogła mieć tylko nadzieję, że Phil okaże się właściwym mężczyzną dla jej siostry.

Nagle pod wpływem impulsu skręciła do domu dawnego przyjaciela ojca. Gdy zaparkowała na podjeździe, zobaczyła otwarte drzwi, a w nich Jaspera. Uśmiechał się, chociaż wyglądał dość mizernie.

- Wpadłam tylko z towarzyską wizytą - powiedziała Abbie, kiedy prowadził ją do holu.

Jasper uśmiechnął się krzywo.

- Na pewno mnie sprawdzasz, tak jak tamta baba.

- Jackie? - Abbie usiadła w salonie, nie kryjąc rozbawienia. - Ona próbuje ci tylko pomóc.

- Dotychczas udało mi się uniknąć natręctwa bab. Niech mnie kule, jeśli się teraz poddam - warknął nieprzejednanie Jasper.

Abbie wiedziała, że zarówno Jackie, jak i Jasper są nieugięci, toteż nietrudno było sobie wyobrazić, jak między nimi iskrzyło.

- Jedziesz do tej chaty po sąsiedzku? - zapytał.

Abbie uznała, że nie ma co zwodzić starego znajomego.

- Doktor Carrig ją wynajął.

- Najwyższy czas - mruknął Jasper.

- Na co? - spytała Abbie..

- Żebyś się znów ustatkowała.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Abbie aż się zarumieniła.

Jasper uśmiechnął się figlarnie, jak za dawnych lat.

- Intuicja tak mi podpowiada.

- Pewno Jackie się wygadała. - Abbie nie miała innego pomysłu.

- Ale skąd. Wiem to z pierwszej ręki. - Roześmiał się,

lecz śmiech pociągnął za sobą atak kaszlu. Po chwili wychry-
piał: - No dobrze, zdradzę ci swoją tajemnicę. Twój młody
doktorek wpada tu do mnie co jakiś czas na tryktraka.

- Nie wiedziałam - zdziwiła się. - Mnie się nie przyznał.

- Bo mu zabroniłem - rzucił buntowniczo Jasper. - Nie
chciałem, żebyście go zadreżali pomysłami z hospicjum al-
bo czymś podobnym.

- Jasper - zwróciła się do niego ciepło Abbie - robimy
to dla twojego dobra.

Spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

- Wiem, dziełatko, ale ja cenię sobie niezależność.

Abbie uśmiechnęła się.

- Myślisz, że nie wiemy? No i co, godny z niego partner
do tryktraka?

- Prawie, prawie - odparł Jasper, puszcżając oko. - To
szczwany lis. Rozegrałem z nim pierwszą porządą partyjkę
od czasu gry z twoim ojcem. Wiesz, ci dwaj chyba szybko
by się dogadali.

Abbie aż coś ukłuło w środku, pod żebrami. Jasper wy-
czuł, że trafił w sedno, i odchylił się w fotelu.

- No więc powiedz mi, dziełatko - mruknął, przeszywa-
jąc ją wzrokiem - jakie masz wobec niego plany?

- Nie mogę mieć żadnych planów - odparła zgodnie
z prawdą. - Jesienią Matt wyjedzie z Anglii i wszystko się
skończy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Siedmiotygodniowa Monica Kay wydała kilka nieartykułowanych dźwięków, uśmiechając się do Abbie.

- Widzę, że dobrze ją karmisz, Sereno - pochwaliła Abbie, łaskocząc różowy brzusek, co wywołało kolejne radosne gaworzenie dziewczynki.

- Mam nadzieję, że długo będę mogła karmić ją piersią - rzekła Serena. - Ale Monica jakoś nigdy nie ma dosyć. Sądzisz, że wystarcza jej mojego pokarmu?

Abbie włożyła małej kaftanik i przebiegła palcami po jej nóżkach.

- Każda kobieta jest fizycznie zdolna do wytwarzania mleka, ale nerwy lub stres mogą zahamować ten odruch.

- Jaki odruch? - zdziwiła się Serena.

- Mleko zaczyna lecieć pod wpływem odruchu, na przykład kiedy myślisz o karmieniu albo słyszysz płacz Moniki - wyjaśniła Abbie. - Przysadka uruchamia odruch, który powoduje wydzielenie się hormonu zwanego oksytocyna.

- A ja myślałam, że mleko już jest w piersi - powiedziała Serena. - I że leci automatycznie, kiedy dziecko zaczyna ssać.

- Bo jest - przyznała Abbie - ale oksytocyna powoduje skurcz mięśni otaczających komórki produkujące mleko. Dopiero wtedy gruczoły mleczne produkują mleko do zbiorniczków pod brodawkami sutkowymi, z których może je ssać dziecko.

- I stres może zakłócić ten cykl?

- Niestety tak. Uruchamia się wtedy błędne koło - potwierdziła Abbie. - Czy masz jakiś powód do zmartwień?

Serena westchnęła, odbierając Monicę z rąk Abbie, po czym ubrała ją w różowe śpioszki.

- Pewno jestem przewrażliwiona. Młodsze matki niczym się nie przejmują, a pod czterdziestkę, kiedy ktoś wyczeka się na dziecko tak długo jak ja, zwykle wszystko wyolbrzymia. Ale denerwowałabym się dużo więcej, gdyby nie poradnia doktora Carriga. Poznałam tam inne starsze matki, zwłaszcza jedną z przemiłą córeczką, Katey Marsh. Czyta Monicę książeczkę w poczekalni.

- A, wiem. - Abbie się roześmiała. - „Co Katey robiła w kuchni”?

- Podobno pan doktor zalecił małej tę lekturę. Na kłopoty z nadwagą.

- Nie zalecamy dzieciom diety - potwierdziła Abbie - lecz zdrowe odżywianie. Najwyraźniej książka spełnia zadanie.

- Według mnie ta dziewczynka ma dobrą sylwetkę - pochwaliła Serena. - A zwróciła pani uwagę na nogę Moniki?

Abbie wzięła znów Monikę, już ubraną, na rękę, co znów wywołało uśmiech na buzi małej.

- Duży postęp, prawda? - Zniekształcenie ustępowało, a nóżka prostowała się w naturalny sposób.

- Dzięki ćwiczeniom, które pokazał nam doktor Carrig. Gdyby nie zastosował fizjoterapii tak wcześnie, pewnie Monica w przyszłości nie chodziłaby normalnie. Doktor ma dar zajmowania się dziećmi. Czy on jest żonaty?

- Nie - odparła Abbie cicho.

- I nigdy nie był?

Abbie uśmiechnęła się, oddając Monicę matce.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Serena spojrzała niewinnie na Abbie.

- Nie sądzi pani, że byłby znakomitym mężem?

Abbie powstrzymała się od komentarza, lecz poczuła się nieco rozdrażniona. Wszyscy ostatnio robili aluzje do jej związku z Mattem. Czy powinna umieścić jaskrawą wywieszkę w recepcji, że Matt nie jest tu na stałe?

Kiedy odprowadzała Serenę do poczekalni, wpadła na Matta, który rozmawiał z Marion Foster i Dave'em Carterem. Chociaż Abbie skończyła już dyżur, Marion poprosiła ją o chwilę rozmowy.

- Wiem, że nie jestem zapisana - oznajmiła stropiona - ale my musimy z kimś porozmawiać, pani doktor. Rozmawiał już z nami doktor Carrig...

Abbie pożegnała się z Sereną, a potem spojrzała na Marion.

- No to już rozmawiajcie z nim. Wystarczy wam jedno z nas.

Marion zrobiła zdumioną minę.

- Wybrał go Dave - bąknęła przepraszająco. - Bo on uważa, że doktor Carrig lepiej go zrozumie. A ja wolałabym panią.

- Musicie się zdecydować albo przyjść do nas oddzielnie - powiedziała Abbie już łagodniejszym tonem.

- A nie moglibyśmy jeden raz porozmawiać z obojgiem państwa? - spytała pacjentka. - Tak długo musiałam przekonywać Dave'a, żeby w ogóle tu przyszedł.

Abbie zerknęła na Matta i Dave'a Cartera pograżonych w poważnej rozmowie.

- Więc wejdz - zaprosiła ją. - O ile na doktora Carriga nie czeka żaden pacjent.

- Dziękuję, pani doktor. Przyrzekam, że to się więcej nie powtórzy.

Abbie wróciła do swojego gabinetu, a oglądając się za siebie, zobaczyła, że Marion, Dave i Matt podążają za nią. Matt, przechodząc obok niej, wzruszył lekko ramionami.

- Dave nadal miewa bóle głowy - odezwała się Marion, a Abbie zauważyła na twarzy chłopaka bliznę, która nawet po zagojeniu przez jakiś czas pozostanie widoczna.

- A ręka? - spytała milczącego dotąd Dave'a.

Chłopak podciągnął rękaw swetra, odsłaniając szynę korekcyjną przywiązaną do nadgarstka.

- Kazali mi to nosić. Podobno to ma skorygować wszelkie zniekształcenia. Ale do pracy nie mogę jeszcze wrócić.

Marion i Dave zamilkli. Abbie spojrzała na Matta.

- Poprawiła się pani sytuacja domowa? - spytał, patrząc na Marion.

- Szkoda, że rodzice nie mogą zobaczyć, jak bardzo kocham Dave'a - wybuchła Marion, a oczy zaszyły jej łzami.

- Ale oni tak chronią Jonathana. Zupełnie jakby dla mnie skończyło się życie. Wiem, że przeprowadzili się tu z mojego powodu, ale ja chcę tylko, żeby dali nam szansę.

Dave spojrzał na Matta, potem na Abbie.

- Nawet ich rozumiem. Dzieli nas duża różnica wieku. Marion ma tylko dziewiętnaście lat, a ja niedługo skończę trzydzieści jeden. I... - urwał, spoglądając na Marion - byłem już żonaty, nie jestem tak zwaną dobrą partią. Rozumiem, że nie chcą, żeby popełniła kolejny poważny błąd.

- Może - podsunęła Abbie - rodzice Marion muszą się przyzwycząić do tej myśli. Przeżyli wstrząs, ale kiedy się przekonają, że pan ma zamiar otoczyć ich córkę opieką, może zmienią zdanie.

- W tym sęk - mruknął Dave. - W Rendale praktycznie nie mam się gdzie podziać, zwłaszcza w lecie. A do tego jestem chory.

- Nie chcę, żeby ktoś adoptował moje dziecko - załkała nagle Marion. - Po prostu nie pozwolę... nie pozwolę!

Dave stał jak zamurowany, a po chwili podszedł i wziął dziewczynę za rękę.

- Marion, tego się boisz?

- Sądziłam, że nie chcesz ani mnie, ani tego dziecka.

Wiem, że zbyt późno myśleć teraz o skrobance...

- Nawet nie chciałaś ze mną rozmawiać - powiedział z wyrzutem Dave. - Nie powiedziałaś słowa.

- Chyba musicie obmyślić jakiś plan - wtrącił cicho Matt. - Ustalcie, na czym wam obojgu zależy, a potem trwajcie zgodnie przy swojej decyzji.

Abbie spojrzała na Matta i zrozumiała, że nic więcej nie wolno tu mówić. Ci młodzi muszą sami pokierować swoim życiem.

Wieczorem Abbie, spacerując z Mattem po ich ulubionym zakątku lasu, powiedziała o swoim współczuciu wobec Dave'a i Marion.

- Muszą znaleźć jakiś ką - stwierdził rzeczowo Matt.

- Czy sądzisz, że on może stracić pracę?

- Jest sezonowym instruktorem sportowym. Na pewno ośrodek nie będzie mu dużo dłużej płacił. - Abbie westchnęła. - Sytuacja nie wygląda najlepiej.

- Pamiętasz, że był już żonaty?

Abbie skinęła głową.

- Rodziców Marion też pewno to trapi. Jonathan dużo dla nich znaczy.

- Ale nie jest ich synem - zauważył Matt, kiedy doszli do przecinki - tylko wnukiem. Powinni pamiętać, do czego sprowadza się ich rola.

- Dziadkowie nie zrezygnują nagle z odpowiedzialności - sprzeciwiła się Abbie. - Zajmowali się małym przez trzy lata.

- Ale prędzej czy później ich córka będzie musiała uzyskać niezależność. Marion musi zdecydować - podkreślił Matt - czy chce stworzyć własną rodzinę, czy pozostać w kręgu rodziców. Ile miała lat, kiedy urodziła dziecko? Szesnaście? A teraz drugie jest w drodze. Moim zdaniem, zarówno dla swojego dobra, jak i dla dobra rodziców, powinna stworzyć własny dom.

- Twierdzisz, że wygra na tym, jeśli porzuci bezpieczne środowisko i pójdzie w nieznaną?

- Po prostu twierdzą, że powinna wreszcie przyjąć odpowiedzialność za własne czyny. - Uniósł podbródek Abbie i pocałował ją delikatnie. - Wracajmy do domu - szepnęła, a ona pokiwała głową. Naraz zapragnęła, żeby przytulił ją mocno, bo tylko w jego ramionach czuła się dobrze i bezpiecznie.

- Córeńko, już od tygodnia źle mi wyglądasz - stwierdziła Bonnie, wpatrując się w starszą córkę.

Abbie leżała na leżaku, z twarzą osłoniętą od słońca słomkowym kapeluszem. Miała nadzieję, że zwalczyła grype, która w ubiegłym tygodniu ściągnęła chmurę pacjentów do przychodni. Ostatnio zmieniła też pigułkę antykoncepcyjną, co najwyraźniej wzmogło jej drażliwość. Miała ją brać względnie krótko, chyba więc skutki nie powinny być dotkliwe.

Było piękne niedzielne popołudnie na początku lipca. Abbie i jej matka przez kilka godzin sprzątały ogród. Wieczorem Bonnie wydawała skromne przyjęcie na sześć osób. Zaprosiła wszystkich, żeby uczcić coś, co miało być niespodzianką.

Abbie była zdenerwowana. Pokłóciła się z Mattem na temat Jaspera, który absolutnie odmówił wpuszczenia Jackie do domu. Jackie szukała wsparcia u Abbie, a ta zwróciła się

do Matta, który miał świetny kontakt z Jasperem. Ale Matt wzruszył tylko ramionami, każąc im obu dać pacjentowi święty spokój.

- Co za karygodny brak odpowiedzialności! - zżymała się oburzona Jackie, kiedy zebrali się we troje w gabinecie.
- Pacjent wymaga fachowej pomocy, której muszęmu udzielić. Skąd wiemy, czy nie dopuszcza się zaniedbań higienicznych?

- A prosił panią o pomoc przy kąpieli? - spytał cicho Matt.

- Niby nie, ale przecież...

- To dlaczego pani nie czeka, aż poprosi? - Matt najwyraźniej poruszył temat, który według Jackie był równoznaczny z zaniedbaniem obowiązków. - Jasper w odpowiednim czasie do tego dojrzeje.

- Ale wtedy będzie za późno - sprzeciwiła się dość przytomnie Jackie. - Proszę spojrzeć, w jakim stanie zastała go Abbie, kiedy ostatnio miał infekcję!

- Będę miał na niego oko - przyrzekł Matt tonem, który zirytował pielęgniarkę.

- Skoro nie jestem potrzebna, to dobrze! - mruknęła Jackie, wychodząc z pokoju.

Kiedy drzwi się zamknęły, Matt spojrzał na Abbie.

- Co ja takiego powiedziałem? - spytał niewinnie.

- Jackie został jeszcze rok pracy - odparła, wzdychając. - Cierpnie na myśl o odejściu. Poza tym ma swoje racje.

- Chce się na siłę wdrzeć do Jaspera? - spytał ostro Matt.

- Jasne, że nie. Wykonuje tylko swoje obowiązki.

- Abbie, nie żyjemy w dziewiętnastym wieku. Możemy nieco rozluźnić reguły.

Jackie miała dobre intencje, ale swoją silną, apodyktyczną

osobowością irytowała niektórych bardziej upartych pacjentów, takich jak Jasper. Lecz Abbie wiedziała, że jest dobrą pielęgniarką.

Tego dnia nie znaleźli rozwiązania. A teraz Abbie roztrząsała to znów w myślach, kiedy matka przykucnęła obok, zasłaniając jej słońce.

- Na pewno masz siłę na to przyjęcie? - spytała, patrząc na bladą twarz córki.

- Nic mi nie będzie.

- Bo masz za mało odpoczynku. - Bonnie spojrzała na nią z troską. - Za dużo od siebie wymagasz. Zawsze taka byłaś, nawet za życia taty. A zwłaszcza po ślubie.

- Wtedy tworzyliśmy tę przychodnię.

- Wiem. Ale często zastanawiałam się... - Westchnęła.

- Miałam nadzieję, że któregoś dnia zostaniemy dziadkami.

Abbie nie odezwała się. Ona także marzyła o dziecku.

- I ja bym tego chciała.

- Widocznie nie było nam pisane - skomentowała matka, zerkając na córkę. - Chociaż wiedziałam, że też o tym marzysz.

- Och, mamó... - Abbie zakryła rękami twarz, a potem spojrzała zmieszana na matkę. - Bardzo pragnęłam dziecka, ale Sean nie chciał. Twierdził, że trzeba to odłożyć, dopóki nie staniemy na nogi. Wtedy pojęłam, że jemu wcale nie zależy na dzieciach.

- I stąd wyniknął problem w waszym związku?

- Tak. - Abbie pokiwała głową. - Niestety, tak,

- Tak mi przykro, córeńko.

- Nie wiem, czy nawet gdyby Sean zgodził się w końcu na dziecko, zmniejszyłoby to dystans między nami.

Bonnie odezwała się dopiero po chwili:

- Pomogłaś Joely i mnie w najtrudniejszych chwilach,

córeczko - rzekła matka serdecznie. - A teraz sama znalazłaś szczęście z Mattem. Ciesz się nim.

- Może powinniśmy szykować już kolację?
- O Boże, byłabym zapomniała...
- Może ja przygotuję przystawki, a ty się zajmiesz głównym daniem?
- Świetnie - zgodziła się matka. - A skoro już przy tym jesteśmy, może powinniśmy skosztować wina?

Roześmiały się, idąc w stronę domu.

- Czerwone, białe czy oba? - spytała, drocząc się, Abbie.
- Szampan - odparła bez namysłu Bonnie.

Abbie zastanowiła się, co też przyniesie ten wieczór.

Było ciepło, wieczór wprost wymarzony dla kochanków, pomyślała Abbie, wkładając prostą czarną sukienkę bez rękawów. Całości dopełniły lśniące czarne szpilki i małe kolczyki-perełki w uszach. Okręciła się kilka razy przed lustrem, pokropiła perfumami, a potem stanęła w oknie, by powdychać zapachy ogrodu. Chwilę zadumy zakłócił głośny dzwonek do drzwi wejściowych. Zbiegła na dół.

Miał czarną jedwabną muszkę i ciemny wizytowy garnitur. Jeszcze zanim otworzyła usta, wziął ją w ramiona i pocałował żarliwie.

- Och, Abbie - szepnął. - Jak ja za tobą tęskniłem.
- Ja też - odparła cicho.

Gdy Bonnie zawołała ją z kuchni, odskoczyli od siebie. Abbie zamknęła drzwi.

- Wiesz, co to za niespodzianka? - spytał, już normalnym głosem, wręczając jej butelkę drogiego wina.
- Nie, ale chyba się domyślałam - odparła.

Niespodzianka Bonnie oczarowała wszystkich. Gdy kwintna kolacja złożona z sałatki z melonów, pieczonego kurczaka i naleśników dobiegła końca, wszyscy zebrali się w oranżerii, a Bonnie otworzyła butelkę szampana. Gdy już napełniono kieliszki, spojrzęła na swych gości.

Abbie usiadła obok Matta na wygodnej rattanowej kanapce, a Joely i Phil spoczęli na fotelach pod oknem. Znaleźli na ten wieczór opiekunkę do dziecka, a ponieważ Michele doszła do siebie po zapaleniu migdałków, teraz obojgu dopisywał humor.

- Wszyscy okazaliście nadzwyczajną cierpliwość - pochwaliła ich Bonnie, kiedy, wygładziwszy piękną śliwkową suknię, spojrzęła na siwego mężczyznę w eleganckim ciemnym garniturze. - Don i ja chcieliśmy coś ogłosić. Mamy powód do świętowania.

Wszyscy spojrzeli na Dona. Abbie pochwyciła spojrzenie siostry i zobaczyła na jej twarzy uśmiech. Joely domyślała się tego samego, co ona - ogłoszenia zaręczyn.

Bonnie uniosła kieliszek szampana.

- Chciałabym, żebyście wszyscy życzyli mnie i Donowi powodzenia. W zeszłym tygodniu staliśmy się współnikami.

Przez pokój przebiegł szmer. Wtedy Don stanął obok Bonnie i trącił się z nią kieliszkiem.

- Wydzierżawiliśmy sklepik z pamiątkami na głównej ulicy. Przy odrobinie szczęścia za trzy tygodnie go otworzymy!

Tej nocy Abbie leżała w ramionach Matta. Oboje byli kompletnie wyczerpani. Napawali się tylko sobą i tym, że nie muszą nic mówić ani robić.

- To było cudowne - szepnął jej do ucha - ale teraz czuję skrupuły, że cię zabrałem z przyjęcia.

- Pewno mama i Don tylko się ucieszyli, że zostawiliśmy ich samych - odparła, tuląc się do jego ciepłej piersi.

- Mmm. Ale to jest miłe. Twoje włosy pachną kwiatami.

- Właściwie to jest zapach cytryny.

- Naprawdę? - Uwielbiała ten jego zmysłowy głos, cichy śmiech, podniecające westchnienia. - Tak czy owak, jestem od niego uzależniony. - Pocałował ją w czubek głowy. - I co sądzisz o niespodziance mamy? - spytał.

- Zaskoczyła mnie - przyznała Abbie. - A ciebie?

- Absolutnie. Ale bardzo się cieszę. Na pewno są świetnymi współnikami. Są znakomicie dopasowani temperamentami.

- Ale nie... - Abbie się zawahała - na małżeństwo?

- To pewnie przyjdzie z czasem.

- Tak sądzisz? - spytała. - Bo ja nie mam tej pewności.

- Na pewno nikt jej nie zastąpi twojego ojca - powiedział Matt. - Ale też Don chyba nie ma takiego zamiaru.

- Moim zdaniem byliby szczęśliwi - podsumowała Abbie, kiedy ręce Matta przesunęły się jej po plecach.

- Bo, jak głoszą słowa piosenki, na tym polega miłość. Abbie nie odpowiedziała. Od pewnego czasu doskonale wiedziała, na czym polega miłość.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W połowie lipca pogoda się załamała. Deszcz, z początku delikatny, przeszedł w ulewy podobne do tamtej w maju, której ofiarą padli młodzi Harvillowie na Mickelsdale Feli. Abbie pomyślała, że jedyną dobrą stroną deszczu w letnim kurorcie był brak wczasowiczów w przychodni.

W dniu otwarcia sklepu w Blotters deszcz nieco ustał. Bonnie, nie stropiona brzydką pogodą, roznosiła kieliszki z białym winem. Matt, Frank i Abbie całą przerwę obiadową spędzili na uroczystości otwarcia.

Zjawił się tłum, toteż Abbie cieszyła się szczęściem matki. Przez ostatnich kilka tygodni Bonnie i Don naprawdę harowali przy sklepie, przy jego remoncie i zmianie profilu. Teraz Bonnie, w modnej fryzurze i szykownym kostiumie, najwyraźniej była w swoim żywiole.

- Czegoś takiego szukałam! - wykrzyknęła rozradowana klientka, zdejmując ręcznie rzeźbioną sówkę z półki. - I w dodatku nie jest droga! - szepnęła do koleżanki.

- Ja kupię taką samą - podchwyciła koleżanka. - Moja siostrzenica zbiera ptaki. Na pewno się ucieszy.

Abbie spojrzała z dumą na matkę, która obsługiwała skomputeryzowaną kasę.

- Coś mi się zdaje, że odniosą oszałamiający sukces - pochwalił cicho Matt, podchodząc do Abbie.

- Nie mogę się nadziwić, jak mama się ostatnio zmieniła - przyznała Abbie.

Wtem zobaczyła siostrę, która machała do niej od drzwi.

- Ciociu Abbie, zobacz, co babcia mi dała! - Michele w koszulce z podobizną Spice Girls dobiegła pierwsza, chwalać się małą porcelanową figurką. - Borsuka z kreskówek.

- Będiesz mogła rozpocząć kolekcję. - Abbie podniosła siostrzenicę do góry. Po chwili dołączyli do nich Phil i Joely.

- Może babcia da ci specjalny kredyt.

Wszyscy się roześmiali, a Don odwrócił się od stojącego przed nim klienta i rzucił przez ramię:

- Dzisiaj dziesięć procent rabatu, proszę korzystać!

- To propozycja nie do odrzucenia - roześmiała się Joely.

- Kupię srebrną tabakierę. Co ty na to, Phil?

- Podejrzywałem, że kryje się w tym jakiś podstęp.

Abbie kupiła piękny dzwonek z matowego szkła i wróciła do Matta, który rozmawiał z klientką w czerwonym sweterku. Kobieta obdarzyła go promiennym uśmiechem i odeszła do kasy.

- Właśnie sprzedałem ten czajniczek - szepnął Matt do ucha Abbie. - Dostanę marżę?

- Eee... - skrzywiła się. - Co najwyżej herbatę. Jeżeli zdążymy wypić przed powrotem do przychodni.

Objął ją w pasie.

- A już zaczynałem się dobrze bawić.

Chwilę potem podeszła do matki i pożegnała się.

- Musimy już iść, mamó. Trzymaj się. - Cmoknęła matkę w policzek i zobaczyła, że Matt podniósł do góry Michele, żeby mogła odstawić jakąś figurkę na wyższą półkę.

Przez chwilę widziała drobną rączkę Michele na jego barczystym ramieniu, małą roześmianą twarzyczkę, kiedy Matt ją rozśmieszył, a następnie postawił delikatnie na podłodze. Gdy ich oczy się spotkały, pomyślała, że ta chwila była tyleż bolesna, co wymowna.

Kiedy do niej dołączył, już na dworze, zdążyła się wziąć w garść. Zrobiła w myślach przegląd wszystkich ważnych dla siebie spraw przed zjawieniem się Matta. Pogodziła się ze swo-

im życiem i pracą po śmierci Seana, a także z rolą ukochanej cioci Michele. Ale tamta chwila w sklepie zaskoczyła i wzruszyła ją bardziej, niż byłaby teraz skłonna przyznać.

Był poniedziałek, kiedy Abbie usłyszała o nadciągających wichurach. Deszcz właściwie nie ustawał od miesiąca, a teraz jeszcze te burze. Chociaż wcześniej zapowiadano falę upałów, koniec lipca okazał się brzydki. Mimo to do przychodni wciąż zgłaszały się tłumy pacjentów z ośrodka wypoczynkowego. Podczas dyżurów Matta w poczekalni nadal było rojno. Gdy jednak tego dnia zapukał do drzwi Abbie, od razu poznała, że coś jest nie w porządku.

- Widziałaś listę wizyt domowych? - spytał.

- Nie - przyznała, zamykając kalendarz i wstając. -

A co, jesteście przeciążeni?

- Uznałem, że ci pokażę. Jakies dziesięć minut temu Stephanie odebrała wezwanie. Proszono o Franka.

Abbie przeczytała nazwisko na górze strony i aż ją ciarki przeszły. Zmusiła się do dalszej lektury notatki.

- Gwyneth Kilerne, bóle brzucha - przeczytała wreszcie na głos. Spojrzała na Matta i odchrząknęła. - Ci ludzie nie wzywaliby lekarza, gdyby nie musieli.

- Zdążyłem się zorientować.

- Naprawdę? - zdziwiła się Abbie.

- Jasper mi o nich wspominał... w związku z wypadkiem, w którym zginęli twój ojciec i mąż.

- A co ci konkretnie powiedział?

- Tylko tyle, że to trudni ludzie - odparł cicho. A potem, siadając naprzeciwko, dodał: - Abbie, pojedę z tobą.

- Nie musimy jechać oboje - oznajmiła, nie mogąc ukryć drżenia w głosie. Odwróciła głowę, bo zimny pot wystąpił jej na czoło. Wzięła płaszcz i zaczęła się ubierać. - Przecież to tylko pół godziny drogi. Ale dziękuję za dobre chęci.

- Przy takiej pogodzie zabierze ci to co najmniej godzinę

- stwierdził Matt, wstając. - Nie słyszałaś prognozy?

- Nie martw się, będę uważała.

- Abbie? - Zastąpił jej drogę. - Nie byłaś tam od czasu wypadku, prawda?

- Prawda. - Potwierdziła skinieniem głowy.

- Esk Feli jest okryte złą sławą przy złej pogodzie - powiedział, przyglądając jej się bacznie. - Prędkość wiatru dochodzi do stu kilometrów na godzinę. Wiem, że dasz sobie radę, ale w tej sytuacji każdemu zaproponowałbym pomoc.

Wiedziała, że ma rację. Esk Feli przypominało kolejkę górską ze swym gąszczem dróg i ostrych zakrętów. W tym upiornym pejzażu można było gdzieś spotkać samotną chatę.

Trzeba przyznać, że Donovan Kilerne i jego żona rzadko prosili kogokolwiek o pomoc. Ostatnim razem Gwyneth wezwała lekarza, gdy poroniła, a ojciec Abbie i Sean w drodze powrotnej od niej ponieśli śmierć. Od tamtej pory Abbie czekała, że trafi tam, wezwana do chorego.

Przez minionych pięć lat owa para tak zdziaczała, że Abbie widziała ich tylko raz przed dwoma laty, kiedy Donovan przywiózł Gwyneth do przychodni starą półciężarówką. Atmosfera była chłodna, a potem Abbie czyniła sobie nie lada wyrzuty.

- Wezmę tylko torbę i spotkamy się przy samochodzie

- oznajmił głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Z najwyższym trudem doszła do citroena, mimo że Matt

objął ją mocno i osłaniał przed wiatrem. W samochodzie włączył wycieraczki, ale zablokowały je liście i gałązki spadłe z drzew, musiał więc wysiąść, by je usunąć. Abbie zapięła pas i spojrzała z trwogą na mokre, wietrzne ulice. Matt ruszył przez opustoszałe Rendale.

- Czy Donovan mówił, co jego zdaniem dolega Gwyneth? - spytała.

- Nie. Tylko że zepsuła im się ciężarówka i że nie mogli tu przyjechać.

- A co ci jeszcze mówił Jasper? - spytała.

- Niewiele.

Abbie zapatrzyła się w krajobraz za oknem.

- Kilerne'owie hodują owce i są poniekąd samowystarczalni. Byli bezdzietni, ale w wieku dwudziestu dziewięciu lat Gwyneth zaszła w ciążę. Tata był jej lekarzem rodzinnym.

- Abbie westchnęła głęboko, zmagając się z bolesnym wspomnieniem. - Pewnego dnia pośliznęła się na zboczu góry i upadła. Kiedy tata dotarł tam z Seanem, było już za późno. Kilernowie sądzili jednak, że gdyby przyjechał wcześniej, może uratowałby dziecko.

Matt spojrzał na nią.

- A dlaczego Sean towarzyszył twojemu ojcu?

- Bo zepsuł mu się samochód. Sean zaproponował, że go podrzuci.

Matt skupił się znów na drodze, lecz po chwili spytał:

- Sądzisz, że Kilerne'owie wciąż żywią do ciebie urazę?

- Tak - potwierdziła.

- Ale pewnie twój ojciec przyjechał tak samo szybko, jak przyjechałaby karetka ze szpitala.

- Kilerne'owie tak nie uważają. Niestety, tata i Sean nie mogli się obronić. Bo sami...

- Posłuchaj, Abbie. Na pewno twój ojciec i Sean zrobili

wszystko, co w mocy lekarzy. Rozumiem dramat Kilerne'ów, ale przecież nie można nikogo obarczać winą.

Abbie pokiwała głową i zagryzła wargi. Podmuch wiatru tak mocno uderzył w szybę, aż się wzdrygnęła. Po chwili rozpoznała zakręt, który wskazywał na to, że są u podnóża Esk Feli.

Usiłowała się odprężyć, ale wszystko tu wzbudzało najgorsze wspomnienia. Skalisty pejzaż i zsiekanie deszczem szczyty nie różniły się od reszty imponujących gór Kumbrii, ale dla niej były miejscem szczególnym. Przed pięciu laty zginęło tu dwóch ludzi, co odmieniło dramatycznie jej życie. Nie mogła tego wybaczyć ani zapomnieć.

- Tu w lewo - poinstruowała Matta na pierwszym rozwidleniu. - Droga do Kilerne'ów prowadzi w górę .

Matt bez słowa wrzucił drugi bieg. Ostrożnie pokonywał coraz węższe zakręty, wciąż omijał stadka zaszarganych owiec kulących się na poboczu. Droga pięła się stromo, z jednej strony ziała przepaść. Matt bardzo zwolnił, tak że dosłownie się teraz wleklei, wpasowując się w ostre wiraże, a deszcz i wiatr chłostały zapamiętałe ich samochód.

- Nic ci nie jest? - zapytał, spoglądając w bok.

Pokręciła głową i wbiła wzrok w kolejny odcinek drogi, osłonięty od czasu wypadku żelazną barierą w biało-czerwone pasy. Matt jakby znów czytał w jej myślach, bo zapytał cicho:

- To tutaj, prawda?

- Tak. - Skinęła tylko głową, bo na chwilę wszystko jej się zamazało, i ta droga, i ten znak niewidoczny w strugach deszczu. W końcu pokonali zakręt i zostawili to nieszczęsne miejsce za sobą. Dotarli do płaskiego odcinka drogi prowadzącego do starej chałupy.

Gdy Matt zapukał, drzwi otworzył Donovan Kilerne. Zdumienie odmalowało się na jego twarzy.

- Wzywałem Franka Morgana - zaprotestował.

- Ale nie ma go dzisiaj! - Abbie przekrzykiwała wiatr, a choć przygotowała się wewnętrznie na to spotkanie, i tak przeżyła wstrząs, widząc jawną wrogość Donovan.

- Moje nazwisko Carrig. Pracuję z doktor Ashby - przedstawił się Matt. - Jeśli jeszcze chwilę postoiimy, to zaraz nas zdmuchnie.

Drzwi do chałupy otworzyły się ze skrzypnięciem i weszli do środka. W izbie panował chłód i mrok. W kącie stał fotel zasłany kocami i poduchami, a na nich leżała Gwyneth Kilerne. Twarz miała bladą, ciemne splecione włosy. Pośrodku stał stół i cztery drewniane krzesła, a w głębi piec na drewno. Leżący w koszu pod piecem owczarek górski nastawił uszy.

- Dzień dobry, Gwyneth - przywitała się Abbie.

Na mizernej twarzy kobiety wyraźnie odmalował się zawód.

- Brzuch mnie boli - rzuciła cierpko. - Gdzie jest Frank Morgan?

- Przyszli ją zamiast niego - mruknął z pretensją w głosie Donovan.

- Nie dam jej się dotknąć! - Gwyneth, popatrując to na męża, to na Abbie, podciągnęła koc pod brode.

Abbie ukłękła i już miała ściągnąć koc z pacjentki, gdy ta zawyla i ukryła pod kocem twarz.

- Muszę ją zbadać - powiedziała Abbie Donovanowi.

- Ona pani nie chce - odparł grubiańsko. - Myślała, że przyjedzie ten drugi.

- Przecież tłumaczyłam, że doktor Morgan dzisiaj nie przyjmuje - powtórzyła cierpliwie Abbie, ale koc się nie uniół. Abbie westchnęła i wstała. - Gwyneth, pozwoli pani, żeby obejrzał panią doktor Carrig?

- On jest nietutejszy - rzekł Donovan. - Nie lubię obcych.

- Niestety, nie ma pan większego wyboru - wtrącił Matt, stawiając torbę na podłodze. - No więc jak, pani Kilerne? Ściągnie pani ten koc czy mamy sobie iść?

Po chwili koc się zsunął. Gwyneth łypnęła podejrzliwie na Matta. Ten ukląkł przy fotelu na jedno kolano.

- Gdzie panią boli? - spytał.

Donovan Kilerne, burcząc pod nosem, poczłapał na bok, a Matt zbadał nabrzmiąły brzuch kobiety. Jeszcze zanim cokolwiek powiedział, Abbie domyśliła się, że jest w ciąży. Najwyraźniej Matt szacował teraz wysokość macicy oraz rozmiary i położenie dziecka, a wnosząc z jego miny, wyczuł puls płodu. W końcu odjął słuchawki i spojrzał na Gwyneth.

- Czy pani wie, że jest pani w ciąży?

- Pewnikiem pan doktor się myli! - dobiegło z kąta izby.

- O pomyłce nie ma mowy. Pańska żona jest w zaawansowanej ciąży, panie Kilerne - odparł Matt.

Gwyneth się rozplakała.

- Gdzie panią tak boli?

Abbie zauważyła, że gdy Matt obmacywał brzuch Gwyneth, ta nie zdradzała oznak bólu. Widocznie nie umiała powiedzieć mężowi o ciąży.

- Musiała pani mieć drobny kłopot żołądkowy, który już ustąpił - stwierdził taktownie Matt, a Gwyneth pokiwała z ulgą głową. - Czy wie pani, kiedy miała pani ostatnią miesiączkę?

Gwyneth pokręciła głową.

- W takim razie muszę panią dokładnie zbadać - stwierdził. I patrząc na Abbie, dodał: - Albo ja, albo doktor Ashby.

- Lepiej pan - zdecydowała Gwyneth. - Chodźmy do sypialni.

Zwlokła się z prowizorycznego posłania, otuliła starym wełnianym szlafrokiem i poczłapała mrocznym korytarzem. Matt podążył za nią, rzuciwszy smętny uśmiech w stronę Abbie.

Gdy wyszli, Abbie zastanawiała się, czy jej ojciec spotkał się z takim samym przyjęciem w ów mroźny zimowy wieczór, kiedy to przyjechał tu z Seanem i dowiedział się, że Gwyneth właśnie poroniła. Bob Burchfield zawsze brał sobie kłopoty pacjentów do serca. Urażał tym samym wszelkim zasadom obowiązującym w medycynie, ale taki właśnie był. Na pewno zamartwiał się o Gwyneth, pomyślała ze smutkiem Abbie.

Po chwili zaczęła chodzić po pokoju. Dlaczego Gwyneth nie powiedziała Donovanowi, że spodziewa się dziecka? Może się bała kolejnego poronienia? A może Donovan nie chce już mieć dzieci? Jedno było pewne. Gwyneth wymyśliła te bóle brzucha, żeby ktoś pomógł jej przy tej ciąży.

- Moim zdaniem pani jest mniej więcej w osiemnastym albo dwudziestym tygodniu - rzekł Matt, kiedy wrócił i zaczął coś wpisywać do karty Gwyneth. - Badanie usg określi to dokładnie.

- Nie zgadzam się na żadne badania - sprzeciwił się Donovan, kiedy jego żona wróciła do izby.

- Dlaczego? - spytał Matt ze zdumieniem.

- Bo w to nie wierzę - odparł zwięźle Donovan.

- Nie chce pan opieki dla swojego dziecka? - Matt wzruszył ramionami. - Woli pan ryzykować i sam przyjąć poród? W dodatku nie wiadomo kiedy.

- Przyjmuję owce - odparł buńczucznie.

- Stracił pan kiedyś jagnię? - Ciemne oczy Matta zapłonęły gniewem.

- Nie mogę sobie na to pozwolić - warknął mężczyzna.

- Ale przyzna pan, że dziecko jest znacznie delikatniejsze od owcy - nie dawał za wygraną Matt.

Donovan spochmurniał.

- Pewno, że przyznam. Już jedno straciłem dzięki takim jak pan.

- Pańska żona wtedy poroniła - powiedział dobitnie Matt. - To się czasem zdarza i nic się na to nie poradzi.

- Wstał i spojrzął na Gwyneth. - Musi się pani regularnie badać. I zrobić ultrasonografię - powiedział. - Teraz życie dziecka zależy wyłącznie od pani. Czekam w przychodni.

Jego stanowczość wyraźnie zdumiała kobietę. Patrzyła to na Matta, to na męża. Po chwili wahania skinęła głową.

- Zepsuła się nam ciężarówka - mruknął jej mąż.

- Ale niedługo pan ją naprawi? - podsunął Matt.

- Może - powiedział Donovan, wzruszając ramionami.

- Trzymam pana za słowo, panie Kilerne. - Matt rozejrzał się po pokoju. - Rozumiem, że tu nie ma telefonu?

- Ja tam nie wierzę w telefony - burknął Donovan.

- A skąd pan dzisiaj dzwonił?

- Od sąsiadów.

- Mamy w przychodni ich numer - rzekła Abbie, przypominając sobie, że jej ojciec tak się kontaktował z Kilerne'ami. - Nic się nie zmieniło, co?

- Ano nic...

Donovan otworzył im drewniane drzwi i nawet nie podziękował.

- Ale nas tu przyjęli - rzucił cierpko Matt.

- Chyba wciąż wini tatę za tamto poronienie - odparła Abbie, zapinając pas.

- Nie byłbym taki pewien. - Włączył wycieraczki, przekreślił kluczyk w stacyjce. - Moim zdaniem, to raczej jego własne brzemię.

- Dlaczego tak uważasz? - spytała zdumiona Abbie.
- Jako chłop najwyraźniej oswoił się ze śmiercią zwierząt
- powiedział Matt, kiedy potężny snop długich światel oświetlił mokrą żwirową drogę. - Ale nie pogodził się ze śmiercią własnego dziecka. Coś musi dręczyć tego biednego człowieka.

Abbie nie wiedziała, co myśleć, ale była wdzięczna Mattowi, że towarzyszył jej w tym wyjeździe.

- Dziękuję, Matt. Bardzo mi dziś pomogłeś...

W odpowiedzi pocałował ją, a potem zapalił silnik i ruszyli do domu.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W drodze powrotnej włos jeżył im się na głowie. Wiatr hulał wściekle po górach i targał Citroenem jak zabawką. Abby uznała, że gdyby nie spokój i skupienie Matta, droga przerodziłaby się w koszmar. Trzymała się kurczowo siedzenia, gdy Matt ostrożnie wziął pierwszy zakręt agrafką, omijając światłami strome urwisko. Na lodzie samochód mógł łatwo wpaść w poślizg, pomyślała ze smutkiem Abby. Ta droga w zwykłych warunkach była niebywale trudna, nic więc dziwnego, że przy mrozie i gołoledzi Sean stracił panowanie nad kierownicą. I nic nie ochroniło samochodu przed runięciem w przepaść.

Wreszcie dotarli do śpiącego Rendale. W domu Matta Abby wzięła prysznic i otuliła się ciepłym szlafrokiem, a Matt przekopał lodówkę, z której wyczarował jakieś szybkie mrożone danie i zimnego kurczaka. Umierali z głodu, więc nawet im się nie śniło, żeby nakryć stół. Ułożyli jedzenie na tacach i zjedli w saloniku.

Po kolacji chcieli wrócić do sprawy Kilerne'ow, lecz oboje byli wyczerpani do cna.

- Chodźmy do łóżka - zaproponował Matt. - Widzę, że padasz z nóg.

- Chyba tak - potwierdziła. - A ty?

Odstawił puste talerze, podniósł ją z kanapy.

- Jakoś zdołam dojść na górę... jeśli obiecasz, że poło-

żysz się przy mnie - odparł. Abbie zarzuciła mu ręce na szyję i obdarzyła namiętym pocałunkiem.

- Dziękuję za dzisiaj - szepnęła.

- Zgaś światło i chodźmy. Chociaż przy takim tempie nie wiem, czy nie wolałbym wrócić na kanapę.

- Kuszące - przyznała, zmagając się ze zmęczeniem i tłumiąc ziewnięcie. - Ale myśl o wielkim łożu na górze...

Roześmiał się cicho i mimo olbrzymiego zmęczenia, jakie musiał odczuwać, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Abbie oparła głowę w zagłębieniu ramienia Matta i uważnie mu się przyglądała. Jak gdyby wyczuwając jej spojrzenie, Matt obudził się, przeciągnął i uśmiechnął.

- O czym myślisz? - spytał, przyciągając ją do siebie.

Uśmiechnęła się, bo jak mogłaby mu powiedzieć?

- Nie żałujesz? - spytał nagle wprost. W oczach miał lęk, ale ona obdarzyła go uśmiechem.

- Ależ skąd!

- No więc o czym myślisz?

- O naszym przypadkowym spotkaniu. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy u Joely, zastanawiałam się, co tam robisz.

Zajrzał jej w oczy, pogłaskał jej ciemne włosy na poduszce.

- Od pierwszej chwili zrozumiałem, że to dla ciebie przyjechałem do Anglii. Zupełnie, jakbym znał cię od zawsze.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego niepewnie.

- Może to opatrność - powiedział cicho. - Wierzysz w opatrność, Abbie? Wierzysz, że niektórzy są sobie pisani?

Sama już nie wiedziała, w co wierzy. Matt postawił całą jej logikę na głowie. Spojrzała w jego piwne oczy błyskające bursztynowymi planikami. Z błogością przypomniała sobie, jak się kochali. Teraz chciała tu tylko leżeć i czuć to, co czuła.

Z wielkim smutkiem przypomniwała sobie wstrzemięźliwe, chłodne reakcje Seana, przez co czuła się niespełniona i samotna. Właściwie nigdy nie przyznała się do tej porażki. Łatwiej jej było obarczyć całą winą siebie.

Ale jeszcze przed śmiercią Seana zaczęli się kłócić, bo ona od tak dawna pragnęła macierzyństwa i dziecka. Z czasem kłótnie przerodziły się w coraz dłuższe, przygnębiające okresy milczenia, co powiększyło dzielącą ich przepaść.

- Sama nie wiem - szepnęła, wsuwając się w jego ramiona, bo raptem zapragnęła odepchnąć myśli o przeszłości i związanym z nią bólu. - Ale dam się przekonać.

Po szalejących przez cały weekend wichurach nadeszła letnia grypa. Przez następne dwa tygodnie przez przychodnię przewinęły się chmury pacjentów, zarówno miejscowych, jak przyjezdnych. Wszyscy skarżyli się na wysoką gorączkę i na mdłości. Ponieważ szalał wirus, Matt musiał rozszerzyć godziny przyjęć przyjezdnych. Wszystkimi pacjentami trzeba się było pilnie zająć, toteż Abbie musiała dodać godzinę do i tak przeładowanego dnia.

W któryś sierpniowy piątek zastała po południu w poczekalni Marion Foster z Jonathanem, a także, o dziwo, Gwyneth Kilerne.

- Dzień dobry, pani doktor - przywitała ją Marion. - Przyszłam z Jonathanem do doktora Carriga. - Wskazała na trzyletniego chłopca, który uśmiechnął się promiennie do Abbie, odsłaniając wielką przerwę między przednimi zębami. - Miał grypę i teraz chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Właśnie wywołano jego nazwisko, więc Marion wzięła go za rękę, pożegnała się i ruszyła do gabinetu.

Abbie odwróciła się i napotkała mroczny wzrok kobiety, jakże różny od wzroku Jonathana.

- Dzień dobry, Gwyneth - przywitała się. - Co słyhać?
- A bo ja wiem - odparła Gwyneth ponuro. - Dlatego żem przyszła do pani.
- Do mnie? - Abbie zdziwiła się, że Gwyneth nie wolała Matta, który wtedy w Esk Feli wyraźnie zyskał jej zaufanie.
- Trochę mi się śpieszy - rzekła Gwyneth, jak zwykle obcesowo. - Ale chciałam przyjść, jak się należy, na pierwszą wizytę.
- No to zapraszam - odparła Abbie, zachodząc w głowę, dlaczego Gwyneth nie zapisała się do Matta.

Kobieta usiadła. Długa spódnica i wełniany sweter kryły ciążę, którą przedtem tak skrzętnie ukrywała przed mężem. Abbie wzięła ze stosu jej kartę, sprawdziła wyniki badań, które przyszły na początku tygodnia. Razem z Mattem omówili je i uznali, że trzeba przekonać Gwyneth do rodzenia w szpitalu.

- Odetchnie pani z ulgą - rzekła Abbie - bo badanie wypadło pomyślnie.

- Musi, że tak - przyznała nachmurzona Gwyneth. - Ale te maszyny nie wszystko pokazują, co?

- Nie wszystko, ale dostatecznie dużo, żeby rozpoznać chociażby mnogą ciążę.

- U nas w rodzinie nie trafiają się bliźniaki - oznajmiła Gwyneth. - Tyle to sama wiem.

Abbie puściła uwagę mimo uszu i określiła rękę pacjentki gumowym rękawem, by zmierzyć jej ciśnienie.

- Na pewno dużo pani odpoczywa? - spytała, mając w pamięci upadek Gwyneth, który poprzedził tamto poronienie.

- Jeszcze doglądam niektórych zwierząt - bąknęła Gwyneth. - Ale nie owiec.

- A co wy jeszcze trzymacie poza owcami? - spytała Abbie, wpisując pomiar ciśnienia do karty.

- Kozy i trochę kurczaków - odparła Gwyneth, skubiąc rękaw swetra. - Mamy kozie mleko, ser, jajka i mrożone kurczaki.

- Pewnie też własne warzywa? - spytała Abbie dla podtrzymania rozmowy.

- A juści! - Gwyneth aż się zachnęła. - I to nie pryskane.

- Tylko byłabym spokojniejsza, gdybyście mieli telefon. Nie ma szans na założenie?

- Donovan się nie zgodzi - ucięła Gwyneth. - Nie lubi telefonów.

- Rozumiem. A zastanawiała się pani, jak będzie rodziła?

- W domu. Bo Donovan nie lubi szpitali. Ale tym razem nie poronię - dodała drżącym głosem.

- Miło mi to słyszeć - odparła Abbie, zastanawiając się, czy Gwyneth ma świadomość, że poroniła w wyniku upadku, a nie jakiegoś zaniedbania jej ojca lub Seana. - Ale proszę, żebyście przemyśleli jeszcze moją propozycję. Przywiózł dziś panią? - spytała z zaciekawieniem.

- Ale nie chciał wejść. Czeka w ciężarówce.

- I zjawi się pani tu za miesiąc? - upewniła się Abbie.

- Mówi, że mnie przywiezie. - Gwyneth spojrzała na Abbie spod ciemnych rzęs. - Najpierw to nie chciał tego dzieciaka. Mówił, że po tamtym wypadku na pewno padł na nas urok.

- Gwyneth, a pani wierzy w te uroki? - spytała Abbie. Gwyneth milczała. Po czym wyjaśniła:

- Dlatego mu nie mówiła o dziecku. Przez te uroki... No więc kiedy pani stanęła na progu...

- Uznała pani, że znów przyniosę urok? - domyśliła się Abbie.

Gwyneth spuściła głowę.

- Nie wiem, czy to pomoże - odparła Abbie pojednawczo

- ale mam pewność, że urok minął. Dziecko będzie zdrowe jak ryba. Pani chyba też w to wierzy.

Gwyneth spojrzała na nią spod strzechy włosów, a potem nagle spytała:

- A który to byłby szpital?
- Załatwilibyśmy pani poród w szpitalu w Rendale.
- Zastanowię się - mruknęła Gwyneth, otuliła się swetrem i szybko wyszła.

Dopiero po wyjściu Gwyneth Abbie pomyślała, że zły urok najwyraźniej wywiera przemożny wpływ na życie Kilerne'ow. Przy czarnowidztwie Donovana, a zwłaszcza jego niechęci do całej medycyny, powinna skakać z radości, że zdołała przekonać Gwyneth do rozważenia możliwości porodu w szpitalu.

Po dyżurze zaniósła karty do recepcji. Siedział tam Matt i odkładał karty swoich pacjentów na miejsce.

- Mam dla ciebie niezwykłą wiadomość - rzekł z uśmiechem, odgarniając nerwowo włosy, jak gdyby jego też to zaskoczyło. - Chodzi o Jaspera.

- Co, Matt? - Aż zamarła, spodziewając się złej wiadomości.

- Opowiedziałem Jasperowi o Carterze w nadziei, że może ma tu jakichś znajomych. Ale rozmowa przybrała zgoła inny obrót. zaproponował, żeby Dave i Marion zamieszkali w przybudówce jego domu. Od śmierci jego matki, czyli od około piętnastu lat, stoi pusta. Jasper chce wziąć od nich jedynie symboliczny czynsz w zamian za niewielką pomoc przy utrzymaniu ogrodu i innych drobnych pracach.

- Powiedziałeś im to? - spytała zaskoczona Abbie.

- Tak. Zadzwoń do Dave'a. Podobno przyjęli go do ośrodka jako recepcjonistę. Dziś po pracy przyjedzie z Marion, żeby obejrzyć to lokum.

- A Marion ma doświadczenie jako pielęgniarka - dodała z zadumą Abbie. - Czy Jasper wie, że oni spodziewają się dziecka?

- Powiedział, że dopóki nie zaczną wtykać nosa w nie swoje sprawy, to jemu nic nie przeszkadza. Uznał, że jeśli ktoś będzie u niego mieszkał, to cały świat się od niego od-czepi.

- Pewno chodziło mu o Jackie.

Matt nie odpowiedział, lecz w trakcie rozmowy Abbie odkryła, że musiał omówić z Jasperem więcej spraw, niż jej wyjawiał, i że najwidoczniej ocenzurował przed nią treść ich rozmowy.

Pewnego sierpniowego ranka słońce przedarło się przez chmury i zaświeciło tak mocno, jakby miało za chwilę stopić asfalt.

Abbie spędzała coraz mniej czasu u siebie, bo prawie zawsze wieczorem wracała do Matta, a Don i Bonnie coraz bardziej angażowali się w sklep. Phil i Joely stali się wytrawnymi gospodarzami letnich barbecue, Michele przestała zapadać na migdałki, nawet Kilerne'owie nieco złagodnieli. Następną wizyta Gwyneth była łatwiejsza, a kobieta z ulgą przyjęła perspektywę rodzenia w szpitalu.

Wrzesień zaskoczył wszystkich. Babie lato ściągnęło do Rendale więcej gości niż zwykle. Tylko jedno napawało Abbie bezbrzeżnym smutkiem: stan zdrowia Jaspera szybko się pogarszał, aczkolwiek układ z Marion i Dave'em przekroczył najśmielsze marzenia Abbie.

Pewnego ciepłego wieczoru postanowiła do niego wstąpić. Zawsze wpadała na krótko, no i nauczyła się już godzić z nieuchronnym postępowaniem jego choroby. Mogła mu tylko przynosić ulgę w cierpieniu. Podczas wizyty dwa tygodnie

temu otworzyła jej Marion. Widocznie Jasper wszedł z lokatorami w niepisany układ. Marion otwierała drzwi, odbierała telefon i wykonywała drobne prace domowe. Jasper nadal jadł i kąpał się sam. Prowadził zatem tryb życia zbliżony do normalnego, bo Marion, w przeciwieństwie do Jackie, nie traktowała Jaspera jak inwalidy.

Abbie podjechała pod dom Jaspera. Ogród, o który dawniej tak się troszczył, był teraz zadbany. Nawet przystrzyżone dzieki wino nie zarastało już ganku. Abbie poznała rękę Dave'a, który wieczorami po powrocie z pracy w recepcji ośrodka wczasowego pomału odnawiał ten stary dom, pragnąc w ten sposób odwdziżyć się Jasperowi za niski czynsz.

Zamknęła samochód, podeszła do wielkich wejściowych drzwi. Już miała zapukać, kiedy zauważyła błyszczący czerwony guzik nowego dzwonka. Nacisnęła, wsłuchała się w melodyjkę.

- Dzień dobry, pani doktor - rzekła Marion, otwierając jej drzwi. - Proszę.
- Co u ciebie? - spytała Abbie.
- Wszystko dobrze, dziękuję.
- A u Jaspera?
- Nie bardzo - odparła cicho Marion i zaprosiła Abbie do kuchni. - Odpoczywa teraz w salonie. Wczoraj wieczorem posłaliśmy mu tam na kanapie. Niestety, nawet przy naszej pomocy nie może już chodzić po schodach.
- Och! - Abbie westchnęła. - Jak wy sobie radzicie?
- Pan Macdonald nigdy się nie skarży - odparła szybko Marion. - Ale wiem, że noce ma kiepskie. - Wzięła wielki niebieski termos z blatu i zaczęła odkręcać korek. - Sama często miewam bóle kręgosłupa. Raz czy drugi nawet do niego zapukałam, kiedy zobaczyłam z korytarza, że się u niego pali. Bo kiedy się nie pali, to wiem, że śpi.

- I odpowiada na twoje pukanie? - spytała zdziwiona Abbie.

- O, tak - odparła Marion. - Widać, że się cieszy z towarzystwa. Ostatnio mu czytam. To go trochę ożywia.

- Masz dobre serce, Marion.

- To my jesteśmy mu wdzięczni - odparła prędko Marion. - Możemy rozejrzeć się za czymś na stałe. Dave znowu pracuje w ośrodku, tyle że w recepcji. Mamy mniej pieniędzy, ale sobie radzimy.

- A Jonathan?

- Bardzo mu tu dobrze. Nie mogę uwierzyć w nasze szczęście. - Zagryzła wargi. - Nie wiem, co by się z nami stało, gdyby nie pomoc pana Macdonalda.

- Cieszę się, że wyszło dobrze. Zajrzę teraz do niego.

- To proszę mu zanieść termos, dobrze? Zrobiłam mu herbatę na wieczór. Żeby nie musiał człapać do kuchni.

Abbie zapukała do drzwi frontowego pokoju.

- Proszę. - Jasper leżał na kanapie przykryty kocem.

- Witaj, Jasper. - Z trudem zdobyła się na uśmiech, widząc, jak straszliwie schudł. Wyglądał jak śmierć na chorągwi. Postawiła termos na stoliku przy kanapie. Łypnął na niego niby to spode łba, ale przyjął go z wyraźną wdzięcznością.

- Siadaj - mruknął. - Mam nadzieję, że nie przyszłaś mi tu wmawiać, że umieram.

Abbie parsknęła śmiechem, on też zaśmiał się cicho.

- Myślałem, że to ta pielęgniara - mruknął.

- Przecież Jackie nie zagłada tu od dawna - powiedziała Abbie, siadając. - Odkąd wynająłeś przybudówkę.

- Bo ta stara wiedźma chciała mnie wsadzić do zakładu!

- Do hospicjum - sprostowała spokojnie Abbie.

- A ja się trzymam. - Spojrzał na nią wyniośle. -

I mam towarzystwo. No więc nikt już nie musi się do mnie wtrącać.

- Muszę przyznać, że miałeś wtedy genialny pomysł - przyznała Abbie ze smętnym uśmiechem. - A teraz pozwól mi się osłuchać. - Wyjęła stetoskop, ale kiedy rozchyliła mu pizamę, z trudem ukryła przerażenie na widok jego chudej szyi i zapadniętej klatki piersiowej. Najbardziej jednak bała się zapalenia oskrzeli albo płuc. - Zaglądała do ciebie ostatnio fizjoterapeutka? - spytała.

- Nikt tu nie musi przychodzić. Od czego ma się lokatorkę?

- To znaczy, że Marion ci pomaga?

- I to lepiej od profesjonalistki.

Abbie odłożyła stetoskop.

- Czyli wszystko gra?

- Można tak powiedzieć - odparł wymijająco. Rozkaształ się, po czym opadł znów na poduszki! - A co u ciebie, dzierlatko?

- Świetnie. - Wzruszyła ramionami.

- A ten mężczyzna? - spytał, unosząc siwe krzaczaste brwi.

- Chodzi ci o Matta? - Abbie uśmiechnęła się tajemniczo. - Tak często go widzisz, że musisz wiedzieć lepiej ode mnie.

- To porządny gość - powiedział Jasper z uśmiechem. - I wspaniały lekarz. Czego można więcej chcieć?

- Znasz sytuację, Jasper.

- A ja myślałem...

- Wiem, co myślałeś - przerwała mu - ale nie przyszłam tu rozmawiać o sobie.

- Niby dlaczego?

- Czy ty kiedykolwiek składasz broń?

- Miłość wszystko zmienia - mruknął refleksyjnie.

- Kto tu mówi o miłości? - Abbie raptem zaczęła szukać czegoś w swojej torbie lekarskiej.

- Bo masz ją w oczach, moja panno. - I znów się rozkaślał, tym razem tak boleśnie, że Abbie musiała pomóc mu usiąść. W końcu znów opadł na poduszki.

- I kto tu mówi o miłości? Zatwardziały kawaler-zażartowała, otulając go kocem.

- Tak, ale przez całe życie obserwowałem ludzi. - Trzęsącymi się rękami złapał ją za nadgarstek. - Ludzi można poznać po oczach. Góry... po wspinaczce. - Głos mu się załamał, powieki zatrzepotały. - Ta choroba to największy szczyt, jaki muszę zdobyć. Zrozumiałem, że nie dam rady bez pomocy bliźnich. Marion i ten jej mężczyzna... to dobrzy ludzie. Kochają się. A jeszcze znajdują czas dla starego, chorego człowieka.

Abbie położyła dłoń na jego ręce.

- Odpocznij teraz, Jasper.

- Ty też musisz kogoś kochać, dziecisko - szepnął, zanim zamknął oczy. Po chwili zasnął.

W drodze do samochodu przypomniała sobie jego słowa, że i ona musi kogoś kochać. Wiele otuchy dodała jej świadomość, że Jasper trafił na kogoś, kogo mógł kochać i kto okazywał mu troskę. A zerknąwszy do lusterka wstecznego, zobaczyła, jak prawdziwe było spostrzeżenie Jaspera, bowiem we własnych oczach dojrzała miłość.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Wygraliśmy - pochwalił się Arthur Haskins, siadając na krześle. - Naprawdę wygraliśmy.

Abbie uśmiechnęła się, zajmując miejsce za biurkiem.

- Moje gratulacje.

- Chociaż byliśmy na najgorszym miejscu w lidze.-Arthur kręcił głową z niedowierzaniem. - Zawstydziliśmy pierwszą drużynę z Hobcraig. Tamtym chłopakom to dosłownie łyzy leciały do piwa - Roześmiał się i puścił oko. - No, prawie...

- Widocznie dobrze grałeś - pochwaliła Abbie.

Arthur się zaczerwienił.

- Żebyś wiedziała. Wszyscy dobrze graliśmy. Ale czułem, jakbym miał jakiś czar w palcach.

- Nadal nie palisz?

- Już cztery miesiące.

- I przez cały ten czas miałeś tylko jeden atak dusznicy?

- Sam się nie mogę nadziwić - odparł - bo wcześniej nękały mnie tak często. Pewno przez te cygara.

- Masz teraz znacznie niższe ciśnienie - rzekła Abbie, składając rękaw ciśnieniomierza. -I płuca czyste. Brawo.

- A wszystko to zasługa tego twojego kawalera - oświadczył Arthur, opuszczając rękaw. - Pomógł mi uzmysłowić sobie, że życie wcale się dla mnie nie skończyło. Niby stuknęła mi już siedemdziesiątka, ale jeśli się postaram, mogę pożyć jeszcze ze dwadzieścia lat. Pomyśl, ile można przez ten czas wygrać meczy.

- Aż miło posłuchać, ile w tobie optymizmu. - Abbie uśmiechnęła się. - Widzę, że nie będziesz już palił...

- Nie ma mowy! - zawołał rozpromieniony Arthur. - Na rzucenie nigdy nie jest za późno. Czuję się, jakby ktoś mi zdjął bielmo z oczu. Znowu widzę, że życie jest piękne. Zupełnie jak aborygen z tamtej opowieści.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam - rzekł Matt, stając w progu - ale chciałem przed wyjściem zamienić słowo z Arthurem.

- Proszę bardzo. Myśmy już skończyli.

- Dzień dobry, panie doktorze. - Arthur wstał. - Też chciałem się z panem zobaczyć.

- Rozumiem, że należą się panu gratulacje - powiedział Matt z uśmiechem. - Podobno trafiliście na sam szczyt ligi?

- Skąd pan wie? - zdziwił się Arthur.

- Wczoraj wpadła tu Elspeth zrobić sobie okresowe badania, i wiem to od niej.

I znów Arthur zaczerwienił się jak burak.

- Nie wiem, co powiedzieć, panie doktorze. Po prostu dziękuję.

- Proszę mi nie dziękować. To wymagało ogromnej siły woli od pana. - Matt wyciągnął z kieszeni małą paczuszkę.

- Coś ode mnie na pamiątkę.

Arthur przyjął upominek i spojrzał stropiony na lekarzy.

- Brak mi słów - wybąkał.

- Muszę już pędzić - przeprosił Matt z uśmiechem. - Do zobaczenia, panie Arthurze. I tak trzymać.

Matt spojrzał jeszcze na Abbie, a potem zamknął cicho drzwi. Kiedy przeniosła wzrok znów na Arthura, zobaczyła z rozbawieniem, że ten rozpakowuje prezent.

- Komplet rzutek! - zawołał. - Z moimi inicjałami

„A.R.” wyrzeźbionymi na lotkach. - Pokazał je Abbie, podnosząc jedną rzutkę pod światło.

- Piękne - powiedziała Abbie, szczerze zaskoczona.

- W życiu nie widziałem tak pięknego kompletu - rzekł Arthur z zadumą. A potem jakby się ocknął. - Jak to: „Na pamiątkę”?

- To nie wiesz? - Abbie spochmurniała. - Doktor Carrig wraca do Australii.

Arthur wyraźnie się zdumiał.

- No tak, pewnie zapomniałem. Doktor Carrig jest dla mnie teraz jak ty albo doktor Morgan... jest częścią tego miasteczka. A kiedy wyjeżdża?

- W październiku.

- Przecież to już za miesiąc! - zawołał Arthur, wkładając rzutkę do pudełka.

- Niestety, tak.

- To dla mnie bardzo smutna wiadomość - oznajmił zaszepiony.

- Dla nas też - przyznała Abbie - ale doktor Morgan i ja postanowiliśmy zastąpić doktora Carriga innym lekarzem, na stałe. A więc pacjenci na tym nie ucierpią.

- E tam, że świecą szukać takiego, co by mu dorównał.

Matt wyjeżdżał, lecz Abbie nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Wiosna i lato minęły. Odnosiła wrażenie, jakby całe jej życie zawarło się w tych miesiącach. Z trudem przypominała sobie, co było wcześniej. Wczoraj, kiedy Frank przypomniał jej, że czas dać ogłoszenie w sprawie nowego wspólnika, zgodziła się bezwiednie. Ale dzisiaj, gdy usłyszała te słowa: „Na pamiątkę”, dotarło do niej, że Matt naprawdę wyjeżdża.

W recepcji Rachel podała jej arkusz papieru w celofanowej koszulce.

- Czy mogłaby pani zerknąć na to i powiedzieć, co o tym myśli? Doktor Morgan naszkicował kilka pomysłów.

Abbie zmarszczyła czoło na widok przejrzystego, zamazanego pisma. Wyraźnie Frank zabrał się gorliwie do poszukiwań trzeciego lekarza. Tyle że Abbie trudno było pogodzić się z tą myślą. Litery skakały jej przed oczami. Arthur Haskins miał rację - trudno będzie znaleźć kogoś takiego jak Matt.

- Pomyślę - odparła Abbie w stronę Rachel.

- Doktor Morgan powiedział, że gdyby zechciała pani dodać coś od siebie i zamieścić ogłoszenie w gazecie, zostawia pani wolną rękę. Bo trzeba się śpieszyć. Ale to lato szybko przeleciało, prawda?

- Owszem - przyznała Abbie.

Dołożyła kartkę do swojej korespondencji i umknęła przed ciekawskim spojrzeniem Rachel. Nikt z personelu nie komentował jej związku z Mattem, choć na pewno wszyscy już wiedzieli o ich romansie. Ze spuszczoną głową pobiegła do pokoju dla personelu. Tam musiała przytrzymać się krzesła, by złapać oddech. Co za idiotyzm, żeby tak reagować. Na miłość boską, przecież od początku wiedziała, że Matt wyjedzie.

Usiłując pozbiierać myśli, poczuła coś dziwnego w brzuchu. Musi głębiej oddychać. Mdłości trwały dłuższą chwilę, tak jak ostatnio. Ale wreszcie odprężyła się i poczuła lepiej.

- Ciociu Abbie, patrz, co ja mam! - Michele biegła ogrodową ścieżką, a jasne warkoczyki podskakiwały jej na ramionach.

Abbie poczekała, aż siostrzenica się zbliży.

- Cześć, psotko. Ojej, co my tu mamy! Mnóstwo czerwonego i zielonego papieru - powiedziała Abbie z poważną miną. - A w środku zaplątany sznurek.

Michele patrzyła na ciocię z niedowierzaniem.

- No wiesz, ciociu! Przecież to latawiec! - zawołała ze śmiechem. - To od wujka Phila. Wybieramy się na grań, tam go będziemy puszczać.

Jak na swoje niecałe pięć lat Michele była wyjątkowo bystra. Uwielbiała używać nowych słów i uwielbiała czytać. Może znajdzie się w gronie tych szczęśliwych dzieci, które...

Abbie urwała, świadoma, że zbyt szybko wybiega myślami naprzód. Jakby ostatnio rozwinął się w niej instynkt macierzyński. Michele wypełniała pewną pustkę w jej życiu.

Podniosła wzrok i zobaczyła twarz Phila Sheppeya w okularach. Michele wzięła Phila za rękę i wyprowadziła z salonu.

- Do widzenia, ciociu.

- Pa, kochanie. - Abbie patrzyła, jak Michele i Phil znikają w ogrodzie. Ponieważ nauczycielka tańca Michele odwołała lekcje w sobotę, Abbie sądziła, że dziewczynka zostanie sama. Miała nadzieję zabrać ją na poranek, na „101 dalmatyńczyków”, w miejscowym kinie, a nagle zyskała mnóstwo wolnego czasu.

Już miała wychodzić, kiedy Joely zawołała ją z kuchni.

- Abbie, tu jestem. Przygotowuję piknik!

Abbie zawahała się, po czym weszła do kuchni. Joely stała przy blacie w dżinsach i koszulce, w czapce baseballowej włożonej tył na przód na rozpuszczone włosy.

- O, dobrze, że jesteś - powiedziała, owijając szaszłyk z kurczaka w folię.

- Coś tu pysznie pachnie - skomentowała Abbie, siadając na stołku przy blacie.

- A, to szarlotka z korzeniami. - Joely odwróciła się z powrotem do piecyka. Włożyła kuchenną rękawicę i wy-

ciągnęła złociste cudo, a Abbie szeroko otworzyła oczy z podziwu.

- Joely, ależ to imponująco wygląda!

- Żeby tylko było jadalne. - Joely nakłuła ciasto nożem.

Ostrze wyszło czyste. - Chyba nieźle jak na początkującą.

Abbie roześmiała się.

- Pierwszy raz widzę, żebyś coś piekła.

- Bo jesteś nie lepsza od Michele. - Joely skrzywiła się.

- Żadna z was nie umiałaby dochować tajemnicy. Chcę przekonać Phila, że będę mistrzynią kuchni!

A kiedy Joely wyciągała pergamin spod ciasta, Abbie zauważyła, że coś zamigotało na palcu siostry. Przez chwilę sądziła, że jej się zdawało. Ale kiedy Joely odłożyła ciasto na ażurową tacę, pierścionek zamigotał ponownie.

- Joely, co to jest? - Spojrzała pytająco na siostrę.

Joely pomachała palcami przed nosem Abbie.

- A podoba ci się?

Abbie skinęła głową, gdy kamień odbił refleksy światła.

- Jest piękny.

- To brylant - powiedziała siostra z rumieńcem. - Phil wreszcie się zdecydował.

- To znaczy, że jesteście zaręczeni?

- Dziwisz się?

Abbie popatrzyła na siostrę, a potem wolno pokręciła głową.

- Nie, właściwie to nie. Jesteś pewna?

Siostra usiadła na stołku obok.

- Absolutnie. Bardzo go kocham. A on twierdzi, że kocha nas obie... Tylko to chciałam wiedzieć, zanim powiedziałam „tak”. Jeszcze nie mówiłam Michele. Ani mamie. Ty jesteś pierwsza.

Abbie uścisnęła siostrę.

- Pewno żadna z nich się nie zdziwi. Moje gratulacje.
- Chyba będzie dobrym ojcem dla Michele - rzekła siostra. - W przeciwnym razie nie zdecydowałabym się na małżeństwo. Dostaje etat w gazecie, co znaczy, że nie będzie tyle wyjeżdżał.

- A gdzie będziecie mieszkać? - spytała po chwili Abbie.
- Na razie tutaj - oznajmiła siostra. - Żeby nie wprowadzać tylu zmian w życie Michele. Ale potem przeniesiemy się do większego domu.

Abbie była pewna, że to słuszna decyzja.

- Chcemy się pobrać w Boże Narodzenie - dodała Joely.

- Planujemy tylko skromną uroczystość w urzędzie stanu cywilnego, a potem przyjęcie w hotelu. Chcielibyśmy prosić ciebie i Matta na świadków.

- Bardzo to miło z waszej strony, ale to niemożliwe.
- A nie mogłabyś przekonać Matta, żeby został trochę dłużej? - spytała Joely.

Abbie potrząsnęła głową.

- Australia to jego dom. I tam czeka na niego praca.

Siostra zrobiła zawiedzioną minę.

- A tak pięknie wyglądacie razem.
- Od początku września szukamy jego następcy.
- Szkoda. Czyż nie byłoby cudownie wziąć ślub jednego dnia?

Abbie aż serce się ścisnęło. Cmoknęła siostrę i wybiegła.

W drugim tygodniu września Jill Nials odebrała wiadomość pocztą elektroniczną od niejakiej Geraldine Hooley z Dubaju. Matt dogonił Abbie, zanim wyruszyła na wizyty domowe i wręczył jej świstek papieru od Jill.

- To chyba wasza pierwsza kandydatka.
- Prawdopodobnie.

- Odpowiesz dziś wieczorem?

Spojrzała na niego i zobaczyła głęboką bruzdę na jego czole świadcząca o pewnym zatroskaniu. Ostatnio żadne z nich nie wspominało o poszukiwaniach jego następcy.

- Mam jeszcze kilka wizyt - odparła szybko Abbie. - Potem usiądę i przeczytam to w spokoju.

- Przyszły jakieś inne oferty?

- Jeszcze nie - odparła - ale na pewno przyjdą.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Nie mam dzisiaj żadnych wizyt, mogę zrobić kolację.

Na co masz ochotę?

- Chcesz powiedzieć, że mam wybór?

- Lasagne z sałatką, lasagne z ciemnym chlebem, albo...

- Albo lasagne ze smażonymi ziemniakami?

Roześmiali się. Kiedy Abbie po raz pierwszy otworzyła zamrażarkę Matta, wypadł z niej stos gotowych dań. Królowały wśród nich lasagne z supermarketu.

- Zaskoczyłbym cię czym innym? - spytał nieco urażony.

- Owszem - odparła ze śmiechem. - A co proponujesz?

- Spaghetti z sosem?

- Cudownie. Po drodze wstąpię po wino.

- Tylko nie żadne tam stołowe - poprosił Matt. - Mam dziś ochotę na coś wyjątkowego.

- Czyżbyśmy mieli coś do uczczenia? - spytała, ściszej głoś, bo w recepcji zjawiała się Rachel.

Zanim Abbie się odwróciła, skubnęła ją delikatnie w szyję.

- Coś się znajdzie - mruknął. - Tylko się nie spóźnij.

- Tak jest, panie doktorze - odparła z uśmiechem i wybiegła na dwór.

Był ciepły wrześnieowy wieczór. Chociaż czasem lubiła się napić dobrego wina do posiłku, jakoś teraz nie miała ochoty

na alkohol. Wciąż męczyły ją te przykre mdłości, które zaczęły się przed kilkoma tygodniami, chociaż grypa wcale się nie wywiązała. Zrozumiała, że wszystkiemu pewno winne są nerwy.

Włożyła wydruk komputerowy do kieszeni, żeby przeczytać go później. Ale w samochodzie go wyjęła.

Geraldine Hooley. Młoda lekarka z rocznym stażem. Abbie wolałaby kogoś bardziej doświadczonego, ale Geraldine miała sporo zapachu. Świadczył o tym chociażby ten e-mail. Wynikało z niego, że jej matka znalazła ogłoszenie w prasie, a wiedząc, że córka szuka takiej właśnie pracy, zadzwoniła do niej do Dubaju, gdzie bawi na wakacjach.

Już pierwsza wizyta pozwoliła Abbie zapomnieć o Geraldine. Na stoliku stała na wpół opróżniona butelka brandy. Lyn Groves, pacjentka dobrze po trzydziestce, najwyraźniej leczyła grypę alkoholem. Chyba dlatego nie mogła przyjść o własnych siłach do przychodni. Abbie zaleciła jej paracetamol, witaminę C i dużo płynów, po czym udała się do drugiego domu. Leżał tam starszy pan prawie z tymi samymi objawami co Lyn Groves. Przynajmniej on chętnie skorzystał z jej rady i przeprosił, że nie przyjechał sam do ośrodka.

Taka to już praca, pomyślała Abbie, czasem fascynująca, czasem frustrująca. Najczęściej jednak pacjenci z wdzięcznością przyjmowali zalecenia lekarskie. Pominąwszy wyczerpujące wizyty nocne, praca lekarza rodzinnego dawała jej wiele satysfakcji.

Ciekawe, jak taka młoda dziewczyna jak Geraldine Hooley przyjmie takie wyzwanie? Uznała, że może po kolacji omówi to z Mattem. Po raz pierwszy mieli usiąść razem i przedyskutować problem jego wyjazdu.

Po wybornej kolacji z winem, którego żadne z nich właściwie nie tknęło, Abbie pomogła Mattowi sprzątnąć ze stołu. Potem zaprowadził ją do ogrodu i posadził tam na bujanej ławce. Pierwszy wrześnieowy chłód otulił ich mgłą.

- Zimno się robi - powiedział, obejmując ją. - Chyba kończy się ładna pogoda.

Abbie wtuliła się w jego pierś.

- Mogłabym tak siedzieć całą noc. Spójrz w gwiazdy. Są ich setki.

- Ciekawe, jak my wyglądamy z ich strony - zainteresował się Matt. - Czy też świecimy tak jasno? - A widząc, że Abbie nie słucha, zapytał: - O czym myślisz?

Westchnęła i potrząsnęła głową.

- Tylko o Geraldine Hooley. Ciekawe, czy się zaaklimatyzuje w Rendale. - Odchyliła się do tyłu i wciągała w płuca rześkie powietrze wieczoru. - Najbardziej boję się jej braku doświadczenia.

- Przecież ja też go nie miałem, kiedy tu przyszedłem - przypomniał. - W każdym razie nie jako lekarz rodzinny.

- Ale miałeś trzydzieści lat i specjalizację w pediatrii. Geraldine jest młodsza i nie ma praktycznie żadnego doświadczenia.

- Jeśli ktoś kocha ten zawód, to nie ma znaczenia. Może Geraldine Hooley jest stworzona do Rendale. Ale omówmy lepiej coś, czego nie mam ochoty omawiać, ale musimy, skoro chcesz przyjąć kogoś na moje miejsce.

Abbie odsunęła się, czując, do czego zmierza.

- Wylatuję dwudziestego ósmego października - oznajmił. - Phil zaoferował się, że poprzedniego dnia wieczorem podrzuci mnie na Heathrow.

- Rozumiem - odrzekła cicho, lecz wszystko wokół niej zawirowało. - Też chętnie odwiozę cię do Londynu.

- Nie uważasz, że to może być dla nas obojga za trudne?
Zamilkli. Pominąwszy skrzypienie huśtawki i cichy szmer przejeżdżającego samochodu, otaczała ich wieczorna cisza. Po chwili wziął ją za rękę.

- Abbie, czy my naprawdę tego chcemy?

- Pytasz, czy chcę, żebyś wyjeżdżał? - Potrząsnęła głową. - Jasne, że nie. Ale to nie ma nic do rzeczy.

- To nie musi oznaczać końca... - zaczął, ale go powstrzymała, kręcąc głową.

- Matt, oboje wiemy, że mówienie o utrzymywaniu kontaktu niewiele tu zmieni. - Westchnęła. - Będziemy mieszkali na dwóch krańcach świata.

- Nie to miałem na myśli - rzekł cicho. I wtedy, jakby chciał powiedzieć coś więcej, pochylił się ku niej, odgarnął jej włosy z twarzy i zatknął za uszy. - Abbie, wcale nie proszę cię, żebyś zrezygnowała z czegokolwiek dla mnie.

- Ja nie mogłabym wyjechać z Anglii, Matt - odparła smętnie. - Ty masz pracę i rodzinę tam. Moja przyszłość jest tutaj, w Rendale. Od początku wiedzieliśmy...

Ich oczy spotkały się i już po chwili wbiegali na górę, zostawiając za sobą jesienny wieczór i chandrę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Siedziała w oranżerii domu rodzinnego i czuła się dziwnie obco. Wszędzie widziała ślady obecności Dona - podręcznik majsterkowicza, płaszcz na drzwiach, męska woda kolońska w łazience. Mieszkała w chacie Matta tak długo, że ten dom wydał jej się teraz z gruntu obcy, aczkolwiek zaraz mogłaby do niego wrócić... Tylko czy chciała?

Frank zaakceptował jej decyzję o przyjęciu Geraldine Hooley, toteż dziewczyna zaczęła pracę natychmiast.

- Dolać ci herbaty, córeńko? - spytała Bonnie, wchodząc z dzbankiem świeżo zaparzonego earl greya.

- Bardzo chętnie. - Abbie patrzyła, jak matka sięga po jej filiżankę. Gdy poczuła woń drogich perfum, uśmiechnęła się z zadumą. Matka ostatnio zawsze jest taka zadbana. Tak pięknie wygląda i jest taka ożywiona. Sklepek w Blotters prosperował.

- Później wpadnie Joely z Philem - oznajmiła Bonnie, siadając. - Tylko w niedzielę możemy zjeść obiad rodzinny. Zostaniesz?

Abbie potrząsnęła głową.

- Dziękuję, mamó. Wieczorem sama przyrządzam kolację.

- Czy tej nowej lekarce podobał się pierwszy tydzień?

- Powoli przekazujemy jej pacjentów Matta - potwierdziła Abbie. - Geraldine ma świetne podejście do dzieci, a więc niewiele się zmieni.

- Zatem mimo młodego wieku się sprawdza? - upewniła się Bonnie.

- Mimo wieku i braku doświadczenia...

- To znaczy, wiek nie stanowi przeszkody, jeżeli w grę wchodzi miłość?

- Czy my nadal mówimy o Geraldine? - Abbie domyśliła się, że matce chodzi o coś innego.

- Don jest dwanaście lat starszy ode mnie - rzekła Bonnie, wzruszając ramionami. - Wiem, że nie wygląda na swój wiek.

- Dwanaście lat - powtórzyła z zadumą Abbie. - Nie wiedziałam.

Bonnie pokiwała głową.

- Bardzo go lubię, chociaż czuję wobec niego coś zupełnie innego niż wobec waszego ojca. Ale Don i ja świetnie się rozumiemy. I dobrze razem czujemy. Nie tak... jak ty i Matt.

- Matka rzuciła tę uwagę mimochodem, Abbie zaś omal nie puściła jej mimo uszu. A potem spojrzała matce w oczy, a ta pokiwała głową. - Targani namiętną miłością.

- Nie zamierzałam się wcale zakochawać, mamo. - Pokręciła głową, a potem westchnęła. - To na mnie spadło nieoczekiwanie. Matt po prostu wtargnął w moje życie.

- Mówiłaś mu, co czujesz? - spytała Bonnie.

- Sama nie chciałam tego przyznać przed sobą - wyjawiała Abbie. - Zresztą, co by to dało? On jest młody i czeka go wspaniała przyszłość... w Australii. Od początku musiałam się z tym pogodzić.

- Ale to się może zmienić - podsunęła delikatnie Bonnie. - I nie martw się różnicą wieku. Dla prawdziwej miłości wiek nie jest żadną przeszkodą. Jeżeli Matt czuje to samo, to też nie będzie chciał tego kończyć.

Abbie powoli pokręciła głową.

- Od początku wiedzieliśmy, że to nie może trwać. Wróciliśmy do tego później, nawet dość niedawno. Nic się tu nie zmieniło. Matt jest związany z Australią. Ja... z Anglią.

Bonnie pokręciła głową.

- Ale, córeńko, skoro go kochasz, to się wcale nie musi kończyć...

W tym momencie zadzwonił pager. Wyłączając go, Abbie ucieszyła się w duchu, że coś z zewnątrz przerwało tę rozmowę. Zadzwoniła do przychodni, narzuciła płaszcz i wróciła do matki, która zaniosiła filiżanki do kuchni.

- To Geraldine - wyjaśniła Abbie. - Ma dzisiaj dyżur, a prosiłam, żeby wezwała mnie, gdyby miała jakieś kłopoty.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego? - Bonnie wstawiła filiżanki do zlewu i odwróciła się do córki.

- Niestety, to coś z Jasperem.

Matka pokiwała w milczeniu głową, po czym uściśnęła córkę.

- Nie wypuść szczęścia z rąk, córeńko - szepnęła.

Te słowa dudniły Abbie w głowie, kiedy matka odprowadzała ją do drzwi i machała na pożegnanie ręką. Jak to możliwe, że szczęście znalazło ją w tak krótkim czasie i to w najmniej spodziewanej chwili? Może dopiero teraz, po śmierci ojca i Seana, czas zagoił rany zadane przez tę tragedię. Tak czy owak, nie miała wątpliwości, że Matt wniósł w jej życie radość i spełnienie, których nie zaznałyby bez niego.

Kiedy jednak znalazła się przy łóżku Jaspera, natychmiast skupiła się na jego cierpieniu.

- Ma kłopoty z oddychaniem - powiedziała cicho Geraldine. - Chyba trzeba go przewieźć do szpitala. Ale uznałam, że najpierw zawiadomię panią.

Abbie zbadala swego starego przyjaciela, który bez wąt-

pienia cierpiał na infekcję dróg oddechowych i zapalenie płuc. Problem, często związany z chorobą neuronów ruchowych, mógł spowodować poważne komplikacje, toteż bez wahania zadzwoniła do szpitala, żeby załatwić przyjęcie Jaspera. W tym czasie Marion spakowała mu walizeczkę, a kiedy przyjechała karetka, Abbie powierzyła swego pacjenta sanitariuszom.

Jasper tak źle się czuł, że nie stawiał oporu. Kiedy położono go delikatnie na noszach, uśmiechnął się do Marion. Po odjeździe karetki Abbie i Geraldine pożegnały się z Marion, po czym poszły do swoich samochodów.

- Czy Marion i Dave to krewni pana Macdonalda? - spytała Geraldine z zadumą.

- Nie. Tylko lokatorzy - wyjaśniła Abbie.

- Bo ta kobieta była bardzo zdenerwowana - zauważyła Geraldine. - Kiedy ma termin porodu?

- Pod koniec listopada. - Abbie się uśmiechnęła. - Będzie pani miała szansę poznać ją lepiej w przyszłym tygodniu, bo ma wtedy wizytę. Podoba się pani mieszkanie?

- Jest piękne - odparła z zachwytem Geraldine. - Z okna sypialni widzę góry. To zupełnie jak sen. Zawsze marzyłam o życiu na wsi. Tylko nie wiem, jak mnie przyjmą pacjenci doktora Carriga. Prawie wszyscy rozpaczają, że wyjeżdża.

Nie tylko pacjenci, pomyślała Abbie. I zwalczając poczucie narastającej pustki w głowie, odjechała.

Ciepłe, słoneczne dni września pomału ustępowały miejsca rześkim, zimnym porankom z wczesnymi przymrozkami. Październik przyniósł wiatry zachodnie i stracił liście z drzew. Biel przyprószyła wierzchołki ciemnych i posepnych gór.

Na początku października Michele obchodziła piąte uro-

dziny, Matt - trzydzieste pierwsze. Ku zadowoleniu, lecz i cierpieniu Abbie żartował, że teraz zaciera się różnica wieku między nimi. Czyżby istotnie miłość kpiła sobie z lat?

W szpitalu stan Jaspera się poprawił. Zaczął wstawać z łóżka na fotel, a stan płynu i poziom elektrolitu wrócił do normy. Marion i Dave odwiedzali Jaspera regularnie, a chociaż miał założony znienawidzony przez siebie cewnik, czuł się na tyle dobrze, że mógł wrócić do domu.

W przeddzień wypisu Abbie dostała telefon ze szpitala. Poranna zmiana odkryła, że jego łóżko jest puste, a pod kołdrą leży koc zwinięty tak, żeby przypominać kształt człowieka. Nikt nie widział, by pacjent opuszczał szpital. Zawiadomiono policję, wszczęto poszukiwania.

W przychodni pojawili się Marion i Dave z Jonathanem.

- Wczoraj wieczorem, podczas odwiedzin, był w zupełnie dobrym stanie - powiedział Dave ze zdumieniem, kiedy zebrali się w gabinecie Abbie, snując domysły, co też się mogło stać. - Jutro miał wrócić do domu. Wszystko zaplanowaliśmy.

- Czy mówił coś dziwnego? - spytał Matt, kiedy wszyscy zastanawiali się nad powodem zniknięcia Jaspera.

- Nie -jęknęła Marion. - Może tylko to, że postanowiono przysłać nam w grudniu kogoś do pomocy na dwa tygodnie. Zastanawiałam się, czy to go nie zdenerwowało. Ale z powodu mojego porodu uznano, że tak będzie najlepiej.

- Kiedy to było? - spytała Abbie.

- Bodajże przedwczoraj. - Marion zagryzła wargę. - Gdybym wiedziała, że tak go to zirytuje, wymyślilibyśmy coś innego.

- Czy miał przy sobie wierzchnie ubranie? - spytał Matt. Marion pokiwała głową.

- Mówiłam już policji. Prochowiec i spodnie. No i oczy-

wiecie buty. Prosił, żeby mu je przynieść. Nie miałam wtedy złych przeczuć. Uznałam, że tęskni za domem.

- Może wybrał się w odwiedziny do starego przyjaciela - rzucił od niechcenia Dave.

I wtedy Jonathan szarpnął matkę za rękaw.

- A Trawsey, mamó? - szepnął nieśmiało.

- Przecież Trawsey to jezioro, kochanie - odparła Marion, po czym spojrzała na Abbie. - Pan Macdonald zawsze opowiadał Jonathanowi, jakie tam łowił ryby. Dlaczego miałby tam iść?

Abbie przypomniała sobie mgliście nazwę jeziora. Jej ojciec jeździł tam za młodu z Jasperem na ryby.

- Może warto wspomnieć o tym policji - powiedziała cicho.

Wyszła do swojego gabinetu, by zadzwonić, a intuicja podpowiadała jej, że Jonathan podsunął im coś ważnego.

Po dwudziestu czterech godzinach znaleziono ciało na brzegu jeziora Trawsey. Zidentyfikował je później Frank Morgan, który udał się do kostnicy, by wypełnić ten ponury obowiązek. Okazało się, że serce Jaspera stanęło kilka godzin wcześniej, bo jego kruchy organizm nie wytrzymał zimna w tę mroźną noc.

Jakiś taksówkarz zeznał, że mężczyzna odpowiadający rysopisowi Jaspera wezwał taksówkę z budki telefonicznej nieopodal szpitala. Twierdził, że wraca ze spotkania seniorów, na którym zanadto sobie pofolgował i dlatego znalazł się w takim stanie. Taksówkarz nie zastanawiał się nad tym dziwnym kursem, dopóki nie usłyszał przez radio o znalezieniu zwłok.

Tajemnicą pozostało to, jak Jasper zdołał dojść od taksówki do jeziora, lecz Abbie czuła, że jego żelazna wola przewyciężyła słabość ciała. Nie zdziwiłaby się, gdyby Jasper

wybrał się w góry, ale o wspinaczce nie mogło być mowy. Dlatego wybrał jezioro Trawsey i własny sposób rozstania się z życiem.

Pogrzeb Jaspera odbył się na tydzień przed wyjazdem Matta. W kościele zjawiała się większość mieszkańców Rendale. Chociaż przez ostatni rok Jasper wiódł pustelnicze życie, okoliczności jego śmierci wzruszyły całe miasteczko.

Matt, Abbie i Frank uczestniczyli w godzinnym nabożeństwie, a Geraldine została na dyżurze w przychodni. Potem Frank został na stypie, a Matt i Abbie wrócili do swych obowiązków.

Dzień był jak w środku lata - drzewa oblane złotem w słońcu i bezchmurne niebo.

- Wymarzony dzień dla Jaspera - skomentował Matt, jadąc z Abbie przez Rendale.

- Mam nadzieję, że nie cierpiał - odezwała się cicho.

- Musiał przemarznąć do szpiku kości.

- Sam tego chciał, a koniec chyba przyszedł szybko.

Pokiwała głową, patrząc przez okno na mijane domy.

Świat kręcił się tak samo jak przedtem. Poczwała dotkliwy smutek i wielką stratę, ale też ulgę, że Jasper już nie cierpi. Za nic nie chciałby być dla nikogo ciężarem.

- Cieszę się, że go poznałeś - powiedziała cicho.

- Będzie mi brakowało tych partyjek tryktraka.

- Bardzo cię lubił...

- Jedną z ostatnich rzeczy, jakie mi powiedział, było to, żebym się tobą opiekował.

Spojrzała mu w oczy. Jak mogła mu wyznać, że całym sercem pragnie, by ją kochał i się nią opiekował? Tylko utrudniłaby mu sytuację. Może za jakieś pół roku, po powrocie do dawnego życia, Matt wspomni ich szczęście tego lata.

Wieczorem zabrali Michele na spacer nad rzekę, bo Joely i Phil wybrali się na kolację do restauracji. Michele miała znakomity humor. Opowiadała o nowych koleżankach w przedszkolu i o gwiazdkowym przedstawieniu baletowym, w którym

ona i Lucy mają wystąpić.

- Tańczymy tak jak w rewii - tłumaczyła, kiedy przeszli przez rzekę do krytego strzechą pubu po drugiej stronie szosy.

- Właściwie to nie jest prawdziwy balet, ale panna Muryłowa mówi, że to nie ma znaczenia. Rodzicom i tak się spodoba.

Michele podbiegła i stanęła u podnóża schodów prowadzących na taras.

- Popatrz, wujku. To jest pierwsza pozycja, to druga, a to trzecia. - I Michele popisywała się, machając nogami i rozpościerając ramiona.

Matt aż klasnął.

- I to ćwiczycie na próbach?

Michele zachichotała, gdy kierowali się do sali dla dzieci.

- Nie, ćwiczymy chore... Ojej, chore...

- Choreografię? - podsunęła Abbie.

Michele pokiwała głową.

- Przyjdiesz zobaczyć, wujku? Będę elfem. Lucy też. Właśnie siadali przy białym stoliku. Abbie i Matt przelotnie spojrzeli sobie w oczy.

- A kiedy będzie to przedstawienie, Michele?

- Piętnastego grudnia o siódmej. - Michele patrzyła na niego wyczekująco. - Mama mówi, że dostanie darmowe bilety dla wszystkich, nawet dla babci i dla dziadka Dona. A wujek Matt mógłby siedzieć obok wujka Phila.

- Bardzo bym chciał - odparł Matt - ale chyba mnie już tu wtedy nie będzie, Michele. Ciocia Abbie mnie zastąpi.

Michele posmutniała.

- A dokąd wyjeżdżasz?

- Wracam do domu - odparł cicho. - Do Australii.
- A ja myślałam, że tu jest twój dom - powiedziała Michele. - Mama mówiła, że urodziłeś się w Anglii.
- To prawda. - Matt spojrzał na Abbie i uniósł brwi. - Pójdę zamówić coś do picia, a potem pokażesz nam te swoje baletowe kroki.

Michele i Abbie patrzyły w ślad za nim. Michele podeszła do Abbie, zmarszczyła nos i palcem zaczęła rysować na stole kółka.

- Wiesz, ciociu, myślałam, że wujek Matt zostanie tu na zawsze. Nie chcę, żeby wyjeżdżał. Jest taki miły. Dlaczego musi jechać?

Abbie posadziła sobie siostrzenicę na kolanie i odgarnęła jej grzywkę z oczu.

- Bo jest lekarzem w Australii - wyjaśniła.
- A dlaczego nie może być lekarzem w Anglii?
- Przez jakiś czas był.
- Nie podoba mu się tu?
- Podoba.
- No to dlaczego nie może zostać?

Abbie wtuliła twarz w pachnące włosy Michele, usiłując ukryć wzruszenie, ale za późno. Michele przechyliła głowę i spojrzała poważnie na ciotkę.

- Ciociu Abbie, ty kochasz wujka Matta?
- Bardzo go lubię, kochanie. - Abbie wyraźnie unikała przenikliwego wzroku siostrzenicy.
- Bo on cię chyba kocha.
- Dlaczego tak twierdzisz?
- Bo wiem. Zresztą mieszka z tobą. Na pewno nie chciałby mieszkać z nikim innym. No i jest przyjacielem wujka Phila. I babcia go lubi, i ja go lubię, i Lucy.

Gdyby to wszystko było takie proste, pomyślała Abbie,

przyciągając Michele do siebie. Logika dzieci jest czasem tak szczerą, że aż zdumiewająca.

- Może pokażesz mi jeszcze ten swój krok? - zaproponowała Abbie, usiłując odwrócić uwagę Michele.

Michele zawahała się.

- Może później - mruknęła i spojrzała w stronę grupki dzieci, które wbiegły na placyk zabaw.

Matt przyniósł sok pomarańczowy dla Michele, kieliszek białego wina dla Abbie i lemoniadę z domieszką piwa. Chrupki, jak podejrzewała Abbie, miały odwrócić uwagę Michele, i tak się też stało, bo dziewczynka rzuciła się na ten nieoczekiwany przysmak, po czym odeszła do bawiących się dzieci.

- Przykro mi, że sprawiam jej zawód - rzekł po chwili Matt.

- Dzieci są odporne. Zrozumie. - Abbie sączyła wino, nie patrząc na Matta. Patrzyła na Michele, której pytania krążyły jej po głowie. W gruncie rzeczy nie znajdowała na nie odpowiedzi.

W końcu Michele zmęczyła się zabawą z dziećmi i ziewając, usiadła między Abbie i Mattem. Oczy jej się kleiły.

- Pora wracać do domu - rzekła Abbie, gdy Michele dopiła sok.

- Czy wujek Matt mógłby przeczytać mi bajkę na dobranoc? - poprosiła.

- Tak, jeśli nie wrócimy zbyt późno. - Abbie spojrzała na Matta, który skinął głową i wziął Michele na ręce.

- Może cię wziąć na barana? - spytał, a Michele zachichotała i pokiwała głową.

Powrót do domu był weselszy. Smutek z pubu gdzieś się ulotnił. W domu Abbie przygotowała Michele do spania i już niebawem dziewczynka leżała pod kołdrą. Bajka była o elfach i dobrych wróżkach, a Abbie wsłuchiwała się w głęboki

głos Matta, który czytał Michele aż do jej zaśnięcia.

Kiedy Abbie krzątała się po kuchni Joely, przygotowując ser z owocami, świeży chleb i gorącą zupę, Matt nagle złapał ją za nadgarstek, odwrócił do siebie i pocałował. Odwzajemniła mu się tak samo żarliwie. Gdy zasiedli do kolacji w saloniku, smutny temat wyjazdu Matta jakoś się rozwiął.

Następny tydzień nie był łatwy. Codziennie rano nękały ją mdłości, a na wieczorach z Mattem kładł się wymowny cień. Będzie jej brakowało wielu drobnych rzeczy - wspólnych posiłków, wieczornych spacerów, herbaty o zmierzchu, kiedy któreś z nich wracało z domowej wizyty.

Codziennie rano jechali do przychodni, ona fiestą, on Citroënem. Codziennie gromadzili ostatnie wspomnienia, które Abbie odkładała na później, na chwile samotności.

Chociażby ten ranek, kiedy z przejęcia wyszła z domu w dwóch różnych butach albo kiedy Matt upuścił pudełko płatków śniadaniowych, które rozsypały się dosłownie po całej kuchni.

Ostatniego wieczoru leżeli obok siebie i kochali się bez słów. Wzruszenie chwyciło ją za gardło, niemal dławiło. Wreszcie popłynęły łzy, które tak dzielnie wstrzymywała przez cały tydzień. Matt otarł je palcem, pocałował jej mokre policzki. Nie próbowała kryć przed nim smutku. Wcześniej przysięgała sobie, że przyjmie to godnie, lecz teraz wszystkie obietnice wzięły w łeb.

Dopiero rano poczuła dziwną ulgę. Matt wziął prysznic, ubrał się i wymknął po cichu. Abbie, odrętwiała, pusta w środku, została w łóżku, bojąc się poruszyć lub coś powiedzieć.

Na dworze mruczał silnik samochodu Phila. Abbie nasłuchiwała, jak otwierają się zamykają drzwi, tak jak wiele razy przez te kilka miesięcy. Wiedziała, że każdy trzask i skrzypnięcie schodów jest ostatnim trzaskiem i skrzypnięciem.

Wreszcie rozległy się ostatnie dźwięki. Powiew rzeńskiego powietrza w korytarzu, szczęknięcie zamka, odgłos odsuwanej zasuwki. Serce waliło jej w takt kroków Matta na ogrodowej ścieżce. Samochód ruszył... i zapadła cisza. Dopiero teraz wszystko się skończyło.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pierwszego listopada obudził ją dzwonek telefonu przy łóżku. Według jej zegarka dopiero minęła ósma. Siadając, poznała w słuchawce głos Geraldine. Gdy zsuwała nogi na podłogę, poczuła nudności, aż musiała wziąć głęboki oddech, zanim się odezwała.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie - przeprosiła Geraldine - ale jestem okropnie przeziębiona. To chyba grypa.

- Nie martw się. - Abbie podniosła głowę, lecz wtem pokój zawirował jej przed oczami. - Przejmę twoich pacjentów.

- Masz pager? - spytała Geraldine.

- Tak... zapasowy. Włączę go i zawiadomię Franka, że jestem do dyspozycji.

Odłożyła słuchawkę i czekała spokojnie, aż minie to dziwne uczucie w żołądku. Kiedy mdłości nie ustępowały, a pot zrosił czoło, narzuciła szlafrok i poszła do łazienki. To nie może być grypa, bo objawy zdarzają się zbyt często. Wbiła tępo wzrok w ścianę. Postanowiła na razie pozostać w domu Matta - czynsz był opłacony do Bożego Narodzenia. Wprawdzie matka nakłaniała ją do powrotu do domu, lecz Abbie odsuwała tę myśl.

Podniosła ostrożnie głowę i podeszła wolno do umywalki. Puściła zimną wodę, przemyła gąbką twarz, wciąż łudząc się, że te mdłości to tylko przedłużająca się niedyspozycja. Lek-

ceważyła głos wewnętrzny, który podpowiadał jej prawdziwy powód.

Wyszła z łazienki i stanęła przy oknie. Ranek był prześliczny. .. biel szronu kontrastowała z błękitem nieba. Droga lśniła w słońcu. To już trzeci dzień od odlotu Matta z Heathrow. Czwarty - odkąd opuścił ten dom. Ile musi minąć dni, zanim przestanie je liczyć?

I znów nadeszła fala mdłości. Ponieważ nie mogła machnąć ręką na obowiązki, wróciła do łazienki i wykonała test. Po chwili usiadła na łóżku, czując mętlik w głowie.

Kiedy mogło do tego dojść? Usiłowała opanować gonitwę myśli, przypomniał jej się pierwszy raz, kiedy kochała się z Mattem. No tak, wtedy zaryzykowali. Zrozumiałaby, gdyby to się stało właśnie wtedy. Ale wzięła wówczas specjalną pigułkę następnego dnia rano i na szczęście nie wynikła z tego żadna bieda.

Potem już zaczęła brać pigułkę systematycznie. Zwalczyła kolejną falę mdłości i zastanowiła się. Wyjęła z torebki kalendarzyk i stwierdziła, że mniej więcej w czasie przyjęcia u matki zmieniła rodzaj pigułki. Potem jeszcze miała miesiączkę. Chociaż, jak sobie teraz przypomniała, był to krótki okres. Przez kilka dni czuła się dziwnie. W sierpniu wszystko pozornie wróciło do normy. Następnego okresu już nie miała i wtedy postanowiła odstawić pigułkę. Matt zaczął się zabezpieczać. ..

Zamknęła kalendarzyk i wstała. Czy to możliwe, że jest w trzecim miesiącu ciąży? Nie mogła w to uwierzyć, ale w końcu cały jej organizm był rozchwiany. Sięgnęła myślą wstecz. A może nieświadomie tłumila własne przecucia? Może przez cały czas podejrzewała ciążę, ale odsuwała tę myśl z powodu wyjazdu Matta? Wstała i skupiła się na obowiązkach. Zadzwoiła do Franka, by go zawiadomić o tele-

fonie Geraldine. Potem ze zdwojoną energią weszła pod prysznic.

Dziecko. Za pół roku. W kwietniu. Serce aż jej załomotało. Jej dziecko. Wymarzone od tak dawna. Jej i Matta, zwinęte w jej brzuchu, już częściowo wykształcone. Jego życie zależy teraz od niej. Zamierzała, oczywiście, wykonać drugi test, ale już wiedziała, całą sobą, że rośnie w niej życie. Owoc miłości jej i Matta. Przeszył ją dreszcz przyjemności zmieszanej z radością i zdziwieniem. A zaraz potem przepelniły ją strach i rozpacz.

Strach, że urodzi i wychowa dziecko bez ojca. Ojca, którego kochała, ale pozwoliła mu odjechać. Co teraz począć? Zawiadomić Matta? Postawić go w sytuacji bez wyjścia?

Ile to razy widziała związki, które rozpadały się z powodu ciąży? Czyżby chciała, żeby Matt poświęcił swoje życie i karierę na drugim końcu świata z powodu jej ciąży? Czy mogłaby żyć z taką świadomością, nigdy nie wiedząc, czy nie wrócił do niej wyłącznie z poczucia obowiązku? Ona też musi rozważyć, czy potrafiłaby zrezygnować ze swojego życia i pojechać do niego. A jeśli on jej nie zechce?

Kiedy usiadła, by napić się wody i skubnąć biskopka, telefon znów zadzwonił. Uznała, że pewnie Geraldine o czymś zapomniała, ale w słuchawce odezwał się Donovan Kileme.

- Niech pani przyjedzie. Ona znów ma bóle.
 - Donovan? - upewniła się Abbie, całkiem już skupiona.
 - Co się dzieje?
 - Ma bóle - powtórzył. I dodał: - Siadła nam ciężarówka. Musi pani przyjechać.
 - Czy Gwyneth rodzi? - spytała. - Skąd pan dzwoni?
 - Od sąsiadów - odparł i połączenie się przerwało.
- Zwalczając nudności, Abbie zadzwoniła do Franka i powiedziała mu, dokąd jedzie.

- Na kiedy ma wyznaczony termin porodu? - spytał.
- Na koniec listopada. - Modliła się w duchu, żeby pogoda w Esk Feli była sprzyjająca. Wiatru nie było, a słońce grzało coraz mocniej. - Czy przejmiesz wizyty pod moją nieobecność?

Frank obiecał, że to zrobi. Abbie zamknęła dom i ruszyła do Gwyneth. Po drodze znów myślała o własnym dziecku. Czy świadomość, że nosi w łonie dziecko Matta, pomoże jej się uporać z jego nieobecnością? Czy też czas będzie działał na jej niekorzyść?

Każdy dzień po wyjeździe Matta był dla niej trudny. Starła się żyć normalnie, kiedy wracała wieczorem do pustego domu. Ale teraz nie wolno jej płakać, bo musi otoczyć miłością dziecko w swoim łonie.

Zanim się obejrzała, znalazła się u podnóża Esk Feli. Zbocze majaczyło nad jej głową, kiedy samochód zaczął piąć się w górę. Ostatnio towarzyszył jej na tej drodze Matt. Trzymał ją za rękę, podtrzymywał na duchu w tamtą burzliwą noc. Niemal namacalnie czuła jego obecność przy sobie, kiedy zbliżała się do zakrętu, który kosztował jej ojca i Seana życie. Wciąż odczuwała smutek, tyle że odległy teraz i przytępiony. Czyżby wreszcie pogodziła się z tragedią w Esk Feli?

Wkrótce pukała do drzwi. Otworzył jej Donovan Kilerne. W środku było ciemno i zimno.

- Jak się czuje Gwyneth? - spytała.

Burknął coś tylko, wskazując głową kominek. Gwyneth, wyciągnięta na prowizorycznym posłaniu przy palenisku, usiłowała wypchnąć swoje dziecko na świat. We dwoje przenieśli ją do sypialni. Abbie posłała Donovana po ręczniki i gorącą wodę. Skoczył, jak wyrwany z transu. Abbie umyła ręce w miednicy przy łóżku i rozłożyła plastikową płachtę na kołdrze.

- Gwyneth, główka już wychodzi - rzekła spokojnie. -
Przestań przec i głęboko oddychaj.

- Donnie! - zawołała Gwyneth.

Na twarzy Donovan, który przyszedł z gorącą wodą, odmalowało się przerażenie.

Po chwili ukazała się główka. Abbie ściągnęła cieniutką błonę z twarzy dziecka. Wtedy zauważyła pępowninę owiniętą na szyi noworodka.

- Zaraz oboje umrą - szepnął Donovan.

Abbie jednak nie miała czasu na odpowiedź, bo musiała ostrożnie odwinąć pępowninę. Gwyneth przestała płakać, tylko patrzyła na ciche dziecko. Donovan zamarł.

Abbie przetarła małą buzię sterylną szmatką i nachyliła główkę do dołu, by usunąć nadmiar śluzu. Trwało to całe wieki, ale kiedy Abbie usiłowała rozruszać pięć małych paluszków u nóg, malec rozdarł się, młóćąc piąstkami powietrze.

Abbie zobaczyła zdumiony wzrok Donovan.

- Masz pięknego syna - rzekła cicho. - Gratuluję.

Podawała dziecko Gwyneth. Gdy obejrzała się za siebie, zobaczyła, że Donovan płacze. Wzięła go za napięte ramiona, doprowadziła do posłania. Donovan padł na kolana i objął żonę oraz nowo narodzonego syna.

Był rześki listopadowy poranek. Słońce przedarło się przez mgłę, szron stopniał. Abbie westchnęła, czując się, jakby przeżyła właśnie emocjonalny maraton. Ostatnie pół godziny spędzone z Kilerne'ami dało jej odpowiedź na wiele pytań. Gdyby miała obok siebie Matta, któremu mogłaby to opowiedzieć...

Wpadła w rozpacz. Zrozumiała, że to dopiero początek. W przyszłości nieraz zapragnie jego ciepła. Podeszła do samochodu, czując pustkę w środku.

- Abbie?

Podniosła wzrok, odwróciła głowę i zobaczyła tylko ośnieżone szczyty w dali oraz ptaka, który przeleciał po błękitnym niebie. No tak, zaczęły się zwiody. Tak bardzo go pragnęła, tak za nim tęskniła, że słyszała jego głos.

- Abbie?

Znów ten znajomy głos, który wciąż słyszała po jego wyjeździe. Serce waliło jej, wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać się samochodu. Ktoś chwycił ją za ramię, a kiedy się odwróciła, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Abbie, nic ci nie jest? - Podtrzymał ją, bo osunęłyby się na ziemię. - Kochanie, taka jesteś blada... Co się stało?

- Pomógł jej wsiąść do samochodu. - Frank powiedział mi, że tu jesteś. Zostawiłem samochód przy furtce, nie chciałem się z tobą rozminąć. - Ukląkł, patrząc na nią z niepokojem.

- Abbie... odezwij się.

To niemożliwe, myślała, czując, że zaraz zemdleje. Po prostu niemożliwe. Widziała jego lśniące oczy, czuła pod palcami jego włosy. Patrzyła na jego silne ciało, ciepłą marynarkę, którą ostatnio kupił w Hobcraig, dzinsy i buty, które miał na sobie w dniu wyjazdu. I naraz tak mocno ją pocałował, aż ją ciarki przeszły. A gdy zobaczyła, jak przygląda im się Donovan Kilerne, zrozumiała, że Matt naprawdę jest przy niej.

- Dzień dobry, Donovanie - przywitał się.

Mężczyzna skinął głową, patrząc na nich ciekawie.

- Dobrze się pani czuje? - spytał.

Pokiwała głową, wstała, przytrzymała się drzwi samochodu.

- Tak, dziękuję. - Spojrzała na Matta. - Donovan ma syna. Chłopak na schwał. Może byś go obejrzał?

Matt spojrzał na nią z wahaniem, ale ona pokiwała głową i wskazała gestem otwarte drzwi.

- Po prostu muszę łyknąć świeżego powietrza. Idź, zaczekam tu na ciebie.

- No dobrze - zgodził się. - Ale usiądź i nie wstawaj, dopóki nie wrócę.

Dopiero po dłuższej chwili zaczęła normalnie oddychać, chociaż serce biło jej jak oszalałe, kiedy próbowała wziąć się w garść i przygotować na widok wracającego Matta. W końcu ta chwila nadeszła. Matt jeszcze zamienił w progu kilka słów z Donovanem, po czym ruszył w jej stronę.

Wstała, żeby się z nim przywitać, a oczy nabiegły jej łzami. Nie wiedziała, co go tu sprowadziło, lecz jedno wiedziała na pewno. To musiało być przeznaczenie. Ona... i ich dziecko. Tym razem nie będzie między nimi żadnych tajemnic.

Leżeli w łóżku, a popołudniowe światło sączyło się przez okno. Pager Abbie stał oparty o książkę na stoliku nocnym.

- Kocham cię, Abbie. Kocham całym sercem - szepnęła Matt. - Dlaczego nic mi nie mówiłaś? Od dawna miałaś te mdłości?

- Już od jakiegoś czasu - przyznała.

- Ale dlaczego trzymałaś to w tajemnicy? Przecież to nasze... nasze dziecko!

- Nie miałam pewności - odparła, patrząc mu w oczy. Dopiero teraz pojęła, jaki popełniłaby błąd, gdyby to przed nim zataiła. - Dopiero dziś rano zrobiłam test.

- Zawiadomiłabyś mnie?

Spuściła oczy, chcąc uniknąć jego przenikliwego spojrzenia.

- Abbie, nie rozumiesz, co to dziecko dla mnie znaczy? Jak bardzo go pragnąłem?

Potrząsnęła głową i odpowiedziała drżącym głosem:

- Przecież w Australii czeka cię kariera zawodowa, życie...

- Cóż ona znacząłaby bez ciebie? Bez naszego dziecka. Nie rozumiesz, że jestełmy teraz rodziną?

Istotnie nie mogła w to uwierzyć. Wciąż usiłowała przekonać samą siebie, że właśnie kochała się z ojcem jej dziecka.

- Przez cały czas czekałem, aż mnie poprosisz, żebym został - szepnął jej w policzek. - O niczym innym nie marzyłem.

- Przecież mieliłmy umowę...

- A mnie się zdawało, że skwapliwie jej dotrzymujesz.

- Nie mogłałm prosić, żebyś zerwał ją dla mnie. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Bałałm się, że będziesz potem żałował.

Uniósł jej brodę i spojrział głąboko w oczy.

- Nie wiedziałałś, że cię kocham?

- Och, Matt... Gdybym tylko wiedziała...

- Byłem idiotą. Powinienem był otworzyć przed tobą serce.

- A dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo sądziłem, że bardziej cenisz sobie niezależność.

- A dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Kiedy Phil podrzucił mnie na lotnisko w Londynie, siedziałem tam przez wiele godzin i myślałem. W końcu uznałem, że nie mógłbym wsiąść do tego samolotu. Zarezerwowałem hotel. Wiele razy brałem do ręki słuchawkę. Napisałem mnóstwo listów, które potem podarłem. W końcu uznałem, że muszę wrócić, spojrzeć ci w oczy i powiedzieć, co czuję.

- Och, Matt! A ja sądziłałm, że obowiązuje nas umowa.. Zastanawiałałm się, czy nie masz kogoś w Adelaide.

- Abbie, powiedz mi, że mnie kochasz - poprosił cicho. -Chcę to usłyszeć.

- Kocham cię, Matt. Oboje cię kochamy.

- O Boże, Abbie. Pomyśleć, że omal się...

Położyła mu palec na ustach.

- Nawet nie kończ. Na pewno oboje byśmy oprzytomnieli.
- Tylko to chciałem usłyszeć.

Wieczorem Abbie leżała wygodnie w ramionach Matta.

- Ciekawe - powiedział, przyciągając ją do siebie - czy zdobędę się na odwagę, żeby poprosić o swoją dawną posadę. Będę czekał, aż zwolni się miejsce. Przyszłość nas zaskakuje.

- Żebyś wiedział - zapewniła go, zamykając oczy i wyobrażając sobie bezcenne zawiniątko w swych ramionach.

- Ale nie będziesz musiał czekać długo. Czy sześć miesięcy ci odpowiada?

- Absolutnie - odrzekł, gdy odwróciła się, by go pocałować. - A skoro jesteśmy przy datach, ustalmy jeszcze jedno. Wobec natłoku naszych zajęć warto ustalić to jak najprędzej.

- Znaleźć przestronny dom? - spytała niewinnie, ale on pokręcił głową.

- O, na to mamy jeszcze dużo czasu.

- Za miesiąc święta, a Joely bierze ślub...

- No, trochę ciepłej. - Uśmiechnął się, wziął ją w ramiona i szepnął: - Daję ci jeszcze jedną szansę.

Kiedy jednak spojrzeli sobie w oczy, słowa okazały się zbędne. Skoro z powrotem zesłało go jej niebo, ono też na pewno zadba o całą resztę.